W numerze: KONRAD FREJDLICH **W stronę kultury** ● ZOFIA TARNOWSKA **Życie do stu dwudziestu** ● JAN BĄBIŃSKI **Plany były gotowe** ● **Plastycy odpowiadają na wyzwanie** ● **Zewsząd o wszystkim** ● **Nowela**

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

26. IV. 1970 r.
17 (649)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

WIESŁAW PUŚ

Lenin a sprawa niepodległości Polski

Sprawy polskie w działalności politycznej i publicystycznej Lenina zajmują jedno z naczelnych miejsc. Stosunek Lenina do problemu niepodległości Polski, był ściśle związany z tzw. kwestią narodową. Już w początkowym okresie swej działalności politycznej w 1895 roku, Lenin w projekcie programu partyjnego, wysunął żądanie zniesienia w Rosji ucisku narodowego, wprowadzenia wolności wyznania i równouprawnienia wszystkich narodowości. Następnie w 1902 roku opracowując program SDPRR wysunął hasło o prawie wszystkich narodów do samookreślenia. Te za ta została wprowadzona do programu SDPRR na II Zjeździe tej partii w 1903 roku. W czasie dyskusji na zjeździe, Lenin, uzasadniając swoje stanowisko w kwestii narodowej podkreślał prawo proletariatu polskiego do wysuwania hasła o utworzenie wolnej niepodległej republiki polskiej. (Na marginesie należy zaznaczyć, że obecni na zjeździe SDPRR przedstawiciele SDKPiL, Warski-Warszawski i Hanecki byli przeciwni uwzględnianiu w programie partyjnym kwestii narodowej. Z tym stanowiskiem SDKPiL, a szczególnie ze stanowiskiem Róży Luksemburg, Lenin często polemizował).

W tym samym 1903 roku na łamach „Iskry", w artykule „Kwestia narodowa a nasz program" Lenin, krytykując nacjonalistyczno-reformistyczny program PPS ustosunkował się bezpośrednio do sprawy polskiej. Analizując sytuację, w jakiej znalazł się naród polski po rozbiorach wskazał na postępowy charakter polskich walk narodowo-wyzwoleńczych, jednocześnie z naciskiem podkreślał, iż zadaniem proletariatu w każdym kraju w zmienionych warunkach społecznych na początku XX wieku, jest przede wszystkim wspólna walka z reakcją i burżuazją. Jednakże to naczelne zadanie klasy robotniczej nie powinno zdaniem Lenina wykluczać wysuwania przez polski proletariat hasła wolnej i niepodległej republiki polskiej „...chociażby nawet prawdopodobieństwo urzeczywistnienia tego przed zwycięstwem socjalizmu było zupełnie znikome".

W okresie rewolucji 1905—1907 roku, Lenin wysoko ocenił walkę polskiej klasy robotniczej, trafnie wskazując na wyraźnie narodowy charakter rewolucji na ziemiach polskich. W listopadzie 1905 roku formułując zadania dla Rad Delegatów Robotniczych pisał, iż program przyszłego tymczasowego rządu rewolucyjnego „powinien dać natychmiast rzeczywistą i całkowitą wolność narodom uciskanym przez bestię carską".

Szczególną uwagę na kwestię narodową w Rosji, a w tym na sprawę polską zwrócił Lenin w latach poprzedzających I wojnę światową. W tym okresie burżuazja europejska rozpętała kampanię szowinistyczną, której celem było zdobycie poparcia mas robotniczych dla jej zaborczych celów. Nacjonalistyczna propaganda rosyjska, skierowana została m. in. przeciwko Polakom. Tej antypolskiej kampanii reakcji carskiej sekundowali, szerząc wśród mas robotniczych hasła nacjonalistyczne rosyjscy mieńszewicy, „likwidatorzy" i bundowcy. Mieńszewicy i bundowcy wystąpili otwarcie przeciwko hasłu samookreślenia narodów, proponując zapożyczone od austriackich socjaldemokratów mgliste hasło autonomii kulturalnej W okresie tym, przeciwnicy samookreślenia, powoływali się często na Różę Luksemburg, która była przeciwna tezie o samookreśleniu, godząc się jedynie na autonomię Polski w ramach państwa rosyjskiego. Lenin walcząc z propagandą rosyjskich socjal-szowinistów, polemizował jednocześnie z poglądami R. Luksemburg. Rozumowanie R. Luksemburg, która występując przeciwko hasłu niepodległości Polski — dowodziła, iż Polska jest tak silnie gospodarczo związana z Rosją, że nie może istnieć jako samodzielne państwo — Lenin nazwał śmiesznym i wykazał, że w zapale walki z nacjonalizmem w Polsce, R. Luksemburg zapomniała o nacjonaliźmie Wielkoruskim. W artykule „O prawie narodów do samookreślenia" w 1913 roku, krytykując stanowisko R. Luksemburg, Lenin stwierdzał „...swym negowaniem prawa do oderwania się w

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ HAMPEL

Leninowski ideał sztuki

Stulecie urodzin W. I. Lenina obchodzone jest w warunkach szerokiego upowszechnienia jego idei. Rocznica ta charakteryzuje się głębokim ożywieniem działalności wszystkich partii komunistycznych, organizacji społecznych i politycznych klasy robotniczej, pokojowych i demokratycznych sił całego świata.

1.

Ale Rok Leninowski spowodował również ożywienie po drugiej, prawej stronie barykady. Nie bez kozery ożywiła się działalność najrozmaitszych instytutów „sowietologicznych" i „kremlinologicznych", wyciągnięto z lamusa Trockiego, przydając mu do pomocy Herberta Marcuse. Nie bez przyczyny także pasuje się kontestację studencką na jedynie prawdziwą, rewolucyjną siłę współczesnego świata. Wszystko to nakłada na komunistów obowiązek ustawicznego demaskowania jawnych przeciwników leninizmu, usiłujących karkołomnymi sztuczkami wykazać jego „ciasnotę" i „anachronizm". Nie mniej, a w pewnych sytuacjach bardziej niebezpieczni są zamaskowani „poprawiacze" socjalizmu, z prawa i z lewa „liberalizujący" naukę Lenina.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że jedni i drudzy starają się wywrzeć wpływ na środowiska twórcze i naukowe. Działalność RWE, „Kultury" paryskiej i innych ośrodków antykomunistycznych, to wystarczająco dobitne przykłady. Stąd też szczególna potrzeba przypominania i stosowania leninowskich zasad w nauce i sztuce. Stąd też szczególna rola, jaką ma do odegrania marksistowska krytyka artystyczna i publicystyka.

2.

Co narzuca się najbardziej przy czytaniu stronic leninowskich, poświęconych problemom literatury i sztuki? Przede wszystkim to, że Lenin traktuje je jak polityk. Z tego względu szczególnie zajadle nasi ideowi przeciwnicy starają się dyskredytować założenia leninowskiej estetyki. Gardłują, zbijając czasem z tropu łatwowiernych, o rzekomej „przypadkowości" i „utylitarności" tez Lenina, przemilczając skwapliwie fakt, że brał on zawsze pod uwagę specyfikę twórczości artystycznej. Oddzielał sprawy doraźnej publicystyki agitacyjno-propagandowej od zadań oryginalnej twórczości. Marksistowska krytyka literacka zrobiła już niemało, by spopularyzować i stosować przemyślenia Lenina w tym względzie. Ale wciąż pojawiają się tendencje, które rozmijają się gdzieś z leninowskim rozumieniem zależności faktu artystycznego i politycznej roli sztuki. Twórczość artystyczna przybiera w nich charakter czegoś zamkniętego, samowystarczalnego, a próby sprzęgnięcia polityki i sztuki, odczuwane są jako gorszące i naganne. Artysta ma niby być mieszkańcem wieży z kości słoniowej, a działalność jego ma mieć charakter

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

Kiedy czytelnik weźmie do ręki bieżący numer „Odgłosów" w Moskwie odbywać się będą główne uroczystości 100-LECIA URODZIN W. I. LENINA. W Polsce poprzedziły je liczne sesje naukowe, ekspozycje pamiątek po Leninie oraz centralna akademia w Warszawie, która odbyła się w minioną sobotę. Szeroko i dostępnie popularyzujemy wśród społeczeństwa bogactwo myśli leninowskiej i jej aktualność. Historia nie zna bowiem człowieka, który mógłby równać się z Leninem pod względem wpływu na bieg wydarzeń. Dzisiejsza mapa polityczna świata oraz proces rozwojowy społeczeństw są tego najpełniejszym potwierdzeniem. Trzecia część ludności żyje w warunkach socjalistycznych, dla dwóch trzecich socjalizm stanowi perspektywę. Polityczne wyzwolenie się wielu krajów kolonialnych i obranie przez nie niekapitalistycznej drogi rozwoju dopełnia obrazu współczesnego świata.

W obliczu stałego wzrostu sił antyimperialistycznych — współczesny imperializm uaktywnia wszystkie możliwości starego społeczeństwa dla zagarnięcia osiągnięć dokonującej się w świecie rewolucji naukowo-technicznej i w dużym stopniu wykorzystuje je do realizowania swej polityki wojny i agresji. Jego możliwości zostały jednak poważnie ograniczone. Siła ekonomiczna i militarna Związku Radzieckiego i całej socjalistycznej wspólnoty budzi uzasadniony respekt, a leninowska polityka pokoju i przyjaźni zmusza do poszukiwania dróg niemilitarnego rozstrzygania konfliktów.

Rozwój wydarzeń na światowej arenie potwierdza przewidywania Lenina, że socjalizm znajdzie się w historycznej ofensywie.

Moskiewskie uroczystości, będące kulminacją obchodów 100-lecia Lenina, podsumowują historyczne przemiany, jakie dokonały się w świecie w latach dzielących nas od Wielkiej Rewolucji Październikowej, i ukazują dalszą socjalistyczną perspektywę.

W Polsce i Związku Radzieckim ostatnie dni przebiegają także pod znakiem ROCZNICY POLSKO-RADZIECKIEGO UKŁADU o przyjaźni i wzajemnej pomocy, który urzeczywistnia marzenia Lenina o przyjaźni naszych narodów. Układ ten stał się dla Polski fundamentem jej rozwoju i czynnikiem międzynarodowego autorytetu.

Dni leninowskiej rocznicy, obchodzonej uroczyście na całym świecie, przynoszą w polityce międzynarodowej ważne wydarzenie, będące jeszcze jedną ilustracją pokojowej polityki Związku Radzieckiego, jego troski o uchronienie ludzkości przed nuklearnym zniszczeniem. Oto w Wiedniu rozpoczęły się RADZIECKO-AMERYKAŃSKIE ROZMOWY na temat zahamowania zbrojeń strategicznych (znane niekiedy pod kryptonimem SALT).

Przemawiając w ub. tygodniu w Charkowie Leonid Breżniew podkreślił wagę tych rozmów. — Jeśli rząd USA — mówił — rzeczywiście dąży do porozumienia w sprawie zahamowania wyścigu zbrojeń strategicznych, jeżeli społeczeństwu amerykańskiemu uda się przezwyciężyć opór fabrykantów broni i soldateski — wówczas perspektywy rozmów będzie można oceniać pozytywnie. Związek Radziecki w każdym razie uczyni wszystko co od niego zależy, aby rozmowy te okazały się pożyteczne.

Śledzenie przebiegu rozmów nie będzie możliwe z uwagi na osłanianie ich tajemnicą. Nie przypuszcza się więc aby przed upływem kilku tygodni znane były złożone przez obie strony propozycje. Teoretycznie możliwości zahamowania tych zbrojeń mogłyby nastąpić przez zastosowanie następujących wariantów:

— ustalenie pułapu ilościowego dla pocisków rakietowych,
— ograniczenie rozwoju technicznego przez zakaz budowy wielogłowic i powiększanie ilościowego stanu broni rakietowej,
— zredukowanie sił ofensywnych.

Zdaniem AFP, a opinie te powtarzane są także przez inne agencje, „Rosjanie zdecydowani są dążyć w Wiedniu do znalezienia sposobu, który pozwoliłby na globalne podejście do ograniczenia zbrojeń strategicznych... W oczach radzieckich dialog amerykańsko-radziecki jest pierwszym krokiem w kierunku ogólnego i całkowitego rozbrojenia".

Do tematu będziemy z pewnością powracać niejednokrotnie, gdyż jak słusznie mówił austriacki minister spraw zagranicznych — Waldheim na otwarciu rozmów — dialog ten może być punktem zwrotnym w stosunkach międzynarodowych.

Z wydarzeń mniej optymistycznych raz jeszcze zwróćmy uwagę na stale pogarszającą się SYTUACJĘ w KAMBODŻY. Reżim gen. Lon Nola zwrócił się w ostatnich dniach do Stanów Zjednoczonych o pomoc wojskową w materiale i sprzęcie. Decyzja Waszyngtonu nie jest jeszcze znana. Gdyby jednak odpowiedź była pozytywna — oznaczałoby to militarne zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych w kolejnym kraju indochińskim. Następstw takiego kroku nie trzeba zgadywać. Wietnam, a ostatnio także Laos wykazują jasno do czego to prowadzi.

W. SŁAWSKI

Portugalczycy przeciw wojnie kolonialnej

„OBSERVER" — LONDYN

Wojny kolonialne, które prowadzi Portugalia w Afryce, wywołują coraz bardziej rosnące niezadowolenie ludności. Przeciw karnym ekspedycjom Lizbony w Angoli, Mozambiku i Gwinei (Bisai) szczególnie energicznie protestuje młodzież. Uchylanie się od służby wojskowej i dezercja przybrały tak wielkie rozmiary, że 120-tysięczna armia, którą utrzymuje Lizbona w Afryce, zaczyna powoli topnieć.

Niedawno mówili o tym w Londynie dwaj młodzi Portugalczycy: 31-letni marynarz Germany i 25-letni podporucznik piechoty — Francisco, którzy z racji politycznych zdezerterowali z armii portugalskiej.

W roku 1967 rząd portugalski był zmuszony przyznać, że od służby wojskowej uchyla się każdego roku około 15 tysięcy mężczyzn. Występując na konferencji prasowej obaj Portugalczycy utrzymywali, iż liczba ta jest mocno zaniżona.

— Chłopcy uciekają z wojska setkami, zarówno w samej Portugalii, jak i w Afryce — powiedzieli.

I rzecz nie w tym, że młodzi Portugalczycy nie chcą tracić 4—6 lat swego życia, tyle bowiem trwa służba wojskowa w Portugalii, do której co roku wciela się dziesięć procent mężczyzn w wieku od 18 do 45 lat. Po prostu nie odpowiada im rola katów, do której zmuszają ich władze.

Obecny premier Ceteanu przy pomocy demagogii i obietnic wprowadzenia „liberalnych" reform próbuje wzbudzić w Portugalczykach zainteresowanie dla sprawy utrzymania „zamorskich prowincji" portugalskich. Jednakże masowa dezercja z wojska i ogromne wydatki na wojnę kolonialną, sięgające 40 procent budżetu, sprowadzają te wielkomocarstwowe usiłowania do zera.

Most na Bosforze

„SPIEGEL" — HAMBURG

Azja i Europa zostaną połączone mostem przez Bosfor, który powstanie niedaleko Stambułu. W ten sposób rząd turecki postanowił wcielić w czyn marzenie, nie spełnione od bez mała dwóch i pół tysiąca lat. Na brzegu azjatyckim rozpoczęcie budowy mostu uroczyście uczczono złożeniem ofiary z trzech baranów, hukiem salw armatnich i rykiem syren okrętowych.

Otwarcie ruchu na moście, który wybuduje brytyjsko-zachodnioniemieckie konsorcjum, powinno nastąpić wiosną 1973 roku.

Turecki minister powiedział z dumą: „Marzenie, które nie mogło się ziścić od 513 roku przed naszą erą, to jest od czasu, kiedy Kserkses, po raz pierwszy w historii, wybudował most przez Bosfor, stało się dziś faktem". Szanowny minister pomylił się: to nie król perski Kserkses, lecz jego ojciec — król Dariusz I powierzył architektowi greckiemu Mandroklesowi z wyspy Samos trudne zadanie połączenia obu brzegów cieśniny.

Siedząc na tronie wykutym w skale, przyjmował Dariusz defiladę swych wojsk, które maszerowały po nowym moście z Azji Mniejszej do Europy, idąc na wojnę ze Scytami. Dopiero trzydzieści lat później, król Kserkses ułożył na Hellesponcie, dzisiejszych Dardanelach, dwa mosty na okrętach wojennych, stojących jeden obok drugiego. Silne falowanie morza rozdzieliło okręty i zniszczyło mosty. Za karę Kserkses kazał wychłostać morze...

Turcy przypuszczają, że w roku 1973 most, o sześciostrumieniowym ruchu, będzie mógł przepuszczać około 22 tysięcy samochodów dziennie. Wsparty na dwóch 165-metrowych wieżach i podtrzymywany stalowymi linami o średnicy 15 centymetrów, będzie najdłuższym mostem wiszącym w Europie i czwartym co do długości na świecie (1074 metry). Ten ambitny zamysł będzie kosztował Turków 183 miliony dolarów. Władze usiłują pocieszyć utyskujących podatników obietnicami przyszłych korzyści materialnych.

Elektromobil - samochód przyszłości

„SCIENCE ET AVENIR" — PARYŻ

Chyba tylko lektyka była tym jedynym środkiem lokomocji, który poruszał się po ulicach miast, nie wadząc nikomu. Bryczki i karety tworzyły już zatory na wąziutkich uliczkach. Obecnie nad większością dużych miast zawisła groźba, którą jest ukochane dziecię naszego stulecia — samochód.

Brzmi to jak paradoks, ale środek transportu, skonstruowany przecież po to, aby się można było szybko przenosić z miejsca na miejsce — paraliżuje dziś miasta.

Władze miejskie z uporem szukają skutecznych sposobów rozwiązania tych trudnych problemów. Buduje się nowe drogi przelotowe, poszerza stare ulice, zwiększa liczbę magistrali z ruchem jednostronnym. Aby, na przykład, zwiększyć szybkość ruchu autobusowego, tworzy się dla niego specjalne pasy. Ale wszystkie te, i temu podobne, środki nie mogą rozwiązać problemu „korków" ulicznych, ponieważ wraz ze wzrostem liczby samochodów zagęszcza się i ruch kołowy.

Od roku 1955 do roku 1964 liczba samochodów zwiększała się w Paryżu, corocznie, o 14 procent. W tymże okresie szybkość ruchu kołowego na ulicach miasta spadła o 20 procent, a na niektórych autostradach francuskich — prawie o połowę. Średnia komercyjna szybkość autobusów, w latach 1952—1964 spadła z 15,2 do 10,5 kilometra na godzinę, to jest o 33 procent. Liczby te świadczą o tym, że już niebawem zagrożenie miast przez ruch samochodowy osiągnie punkt krytyczny, o ile, oczywiście, sam samochód nie ulegnie przeobrażeniom, i nie stanie się mechanizmem przystosowanym do warunków ruchu miejskiego.

Szczególnie jaskrawa jest dysproporcja pomiędzy powierzchnią, którą zajmuje samochód, a liczbą jego pasażerów: wg danych statystycznych, 4-miejscowy samochód przewozi średnio 1,3 pasażera. To znaczy, że w mieście samochód nie jest wykorzystany optymalnie. Miejski samochód powinien być jedno- lub dwumiejscowy, nieduży, zwrotny, łatwy w prowadzeniu. A co najważniejsze — nie powinien zanieczyszczać powietrza spalinami. Klasyczny samochód nie tylko nie posiada tych właściwości, ale — co więcej — jest źródłem 85 procent hałasu, powstającego w obrębie miasta oraz źródłem 50 procent gazów zanieczyszczających powietrze miast.

* * *

Czy współczesna technika zdolna jest stworzyć samochód miejski w tej postaci, w jakiej pragnęlibyśmy go widzieć? Wszak powinien on być nie tylko mały, ale również bezgłośny i nie „toksyczny". Jednakże ani jeden z prezentowanych dotąd mini-samochodów nie odpowiada stawianym wymaganiom.

Przede wszystkim należy odejść od tradycyjnego silnika spalinowego. To kieruje myśl techniczną na inne źródło energii — napęd elektryczny. Ale elektromobil — to nowość dnia wczorajszego. Pół wieku temu po ulicach Paryża jeździły już elektryczne taksówki. Jednakże trzeba było z nich zrezygnować.

Przyszłość elektromobilu zależy od seryjnej produkcji lekkich, długotrwałych akumulatorów o dużej pojemności. W ostatnich 50 latach ciężar właściwy akumulatorów zmniejszono prawie dwukrotnie, ale wytwarzany przez nie napęd elektryczny wciąż jeszcze nie wytrzymuje konkurencji silnika spalinowego.

W elektromobilach umieszczano już lekkie akumulatory cynkowo-srebrne, ale są one bardzo kosztowne, przy czym można je ładować tylko sto razy, potem idą na złom. Akumulatory sodowo-siarkowe, 15 razy lżejsze od zwyczajnych, są niezmiernie trudne w eksploatacji, bowiem ich elektrody pracują w temperaturze 300 stopni Celsjusza.

Niektórzy specjaliści przypuszczają jednak, że mimo tych trudności, za jakieś pięć lat elektromobil będzie mógł już konkurować z samochodem o napędzie spalinowym. Ale są i specjaliści, nastrojeni mniej optymistycznie. Sądzą oni, iż na skonstruowanie tak wydajnych akumulatorów potrzeba setek milionów dolarów i 50 albo 100 lat badań naukowych i eksperymentów...

Pałacowa rewolucja

„UNITA" — RZYM

Zalewająca Włochy fala gwałtownych wystąpień ludzi pracy przeniknęła też przez, wydawałoby się, niedostępne mury Watykanu. Nie zdążyły jeszcze ucichnąć echa „sprawy sprzedaży obrazów" — z apartamentów papieskich, kiedy pod sklepieniem Katedry Świętego Piotra znów zapanował stan napięcia i niepokoju. Tym razem spokój pełen do stojeństwa zmącili właśnie ci, którym powierzono opiekę nad papieskim tronem: zbuntowała się gwardia papieska, tak zwani strzelcy szwajcarscy, którzy już od pięciuset lat, w dzień i w nocy, strzegą papieskiego państwa.

— Mamy już dość ciągłego ucisku, nietolerancji wobec tych spośród nas, którzy okazują choćby najmniejsze niezadowolenie. Żądamy ludzkiego stosunku — oświadczyli gwardziści — i postanowili nie pełnić służby dopóty, dopóki nie zostaną zaspokojone ich żądania, (żądania te dotyczą przede wszystkim żołdu, przedłużenia urlopów, środków pieniężnych na kupno i konserwację kosztownych, średniowiecznych mundurów i broni).

Administracja watykańska, przerażona tak niesłychaną hardością i nieposłuszeństwem gwardii, poszła na pewne ustępstwa, aby w jakikolwiek sposób zatuszować skandal. Ale, zaiste, niezbadane są drogi Opatrzności. Któż by mógł nawet pomyśleć, że poddani watykańskiego państwa, którym w dodatku powierzono ważne zadania strzeżenia spokoju i nietykalności jego granic, wyślą pisemne podziękowanie do redakcji centralnego organu Włoskiej Partii Komunistycznej — dziennika „Unita"...

W liście piszą „Szwajcarzy", że „Unita" jest jedynym pismem włoskim, które obiektywnie naświetliło położenie gwardzistów papieskich i poinformowało czytelników o ich słusznych postulatach.

Autorzy listu przepraszają redakcję, że zataili swoje nazwiska, ale musieli to uczynić, ponieważ „żyją w warunkch państwa demokratycznego". Jednakże sumienia mamy czyste — piszą oni — i jeśli już szukać w tej sprawie winnego, to przede wszystkim jest nim społeczność, w której żyjemy. Nie cierpi ona prawdy, nie chce widzieć swoich błędów. Jest zdolna egzystować wyłacznie na koszt eksploatacji bliźniego dzięki bezprawnie otrzymanym przywilejom"...

Komentarze do tego listu bez precedensu w dziejach Watykanu, są zbyteczne.

APEL DO B. UCZNIÓW OKUPACYJNYCH KOMPLETÓW, PROWADZONYCH W ŁODZI PRZEZ NAUCZYCIELA ADAMA KOWALSKIEGO

Koledzy i Koleżanki! Podajcie jak najprędzej swoje adresy oraz adresy koleżanek i kolegów z tamtego okresu, z którymi utrzymujecie kontakt!
Adres dla listów:

Okręg. Komisja Hist. ZBoWiD, Łódź, ulica Piotrkowska 211 z dopiskiem „Spotkanie".

Osobiste zgłoszenia

pod tym samym adresem pokój nr 10 w środy godz. 10—12 lub w czwartki od 18—20.

Zaproszenie na Zjazd z podaniem terminu i miejsca spotkania zostanie wysłane pocztą.

Leninowski ideał sztuki

Dalszy ciąg ze str. 1

kontemplacyjny, pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia praktycznego.

Jakże namiętnie zwalczał podobne koncepcje Lenin! Nie oddzielał nigdy estetycznego znaczenia utworu artystycznego od jego politycznych funkcji, które przybiera w konkretnej sytuacji. Jego teza o związku sztuki z polityką nie sprowadza się naturalnie do tendencyjnego wykorzystania sztuki w walce politycznej. Lenin rozumiał literaturę i sztukę jako fakty ukształtowane historycznie, a więc poddane określonym prawom rozwoju i zdeterminowane mimo względnej samodzielności swego rozwoju przez te same czynniki, które określają całość rozwoju społeczeństwa. W 1920 roku na III Ogólnorosyjskim Zjeździe Komsomołu mówił: „Jesteśmy marksistami, stoimy więc na stanowisku, że wszelka ideologia wyrasta na gruncie określonych stosunków klasowych, że nie istnieje i nie może istnieć kultura, nie nosząca na sobie piętna klasy, pod której kierunkiem i w której interesie została stworzona. Jesteśmy nową klasą, mamy nowe ideały, budujemy nowe społeczeństwo i chcemy całkiem innej kultury".

3.

Wielokrotnie opisywany i dyskutowany był stosunek Lenina do różnych współczesnych mu prądów artystycznych. Przeciwnicy jego nauki usiłują dowodzić, że sympatie Lenina do realizmu, niechęć do awangardy literackiej czy malarskiej wypływały z „konserwatyzmu" przekonań estetycznych i „tradycjonalizmu" gustów. Dla wielu niezrozumiały jest fakt, że Wielki Rewolucjonista, zwolennik wszystkiego, co nowe, twórcze i postępowe, mógł nagle „omylić się" w ocenie nowych prądów w sztuce, przełożyć ponad nie tradycyjny realizm. A przecież jego stanowisko w tym przedmiocie było tylko konsekwencją całej stworzonej przez niego teorii, wypływało z zasady demokratyzmu. Bowiem z punktu widzenia leninowskich ocen, sztuka winna służyć nie „górnym dziesięciu tysiącom", a dziesiątkom i setkom milionów ludzi.

Negatywnie oceniając ekstremistyczne prądy literackie, Lenin wychodził z założenia, że są one w swej istocie antydemokratyczne, odciągają człowieka od konkretnej, rewolucyjnej działalności, od realnych zadań, w świat beznadziei i zwątpienia, w sferę igraszek formalnych. Odrzucał je dlatego, że nie dawały mu satysfakcji estetycznych. Wiadomo przecież skądinąd, że prywatne sympatie i antypatie oddzielał od spraw ogólnych. Uważał po prostu, że estetyczne potrzeby społeczeństwa rosyjskiego, a potem nowego państwa, nie mogą zostać zaspokojone przez elitarną sztukę.

Z drugiej strony, Lenin, formułując zasady, w oparciu o które powinna rozwijać się sztuka socjalistyczna, popierał prawdziwe nowatorstwo, mówił wyraźnie o prawie artysty do swobody „myśli i fantazji". W rozmowie z Klarą Zetkin gwarantował, że młoda władza radziecka będzie aktywnie popierać wszelkie nowatorstwo, służące w sposób oczywisty rozwojowi narodu, że każdy artysta tworzyć będzie według własnego ideału, według własnego uznania. Podkreślał wielokrotnie, że państwo socjalistyczne nie zamierza narzucać artystom rewolucyjnych idei i gustów. Taka praktyka mogłaby bowiem zrodzić tylko falsyfikaty sztuki rewolucyjnej. Odrzucając formy administracyjne widział Lenin inne: przekonywanie, zachętę, odpowiednie wychowanie nowych kadr twórczych. Wszystkie te środki powinny według niego być zastosowane, by dać sztuce inspirację rewolucyjną, zaś „zorganizowany proletariat winien czuwać nad całokształtem tej działalności".

4.

Marksistowsko-leninowska estetyka dostrzega fakt, że związki literatury i sztuki z polityką są bardziej złożone, trudniej uchwytne, niż w innych sferach ideologii. Dlatego burżuazyjnym ideologom wydaje się, że hołubione przez nich teorie „konwergencji" i „przerzucania mostów" są najłatwiejsze do przemycenia w dziedzinie sztuki.

Krytyk — marksista nie powinien więc bezkrytycznie odnosić się do obcych nam ideowo prądów, reprezentowanych przez artystów o orientacji niekoniecznie nawet skrajnie antykomunistycznej. Powinien znaleźć drogę między sekciarskim, totalnym sprzeciwem wobec awangardy artystycznej z jednej strony, i między prymitywną apologetyką z drugiej. Drogę głębokiej, wszechstronnej i zasadniczej leninowskiej analizy.

Tutaj docieramy do nader istotnego problemu, podniesionego przez Lenina u schyłku XIX wieku, do problemu partyjności. W pracy napisanej w 1894 roku, „Treść ekonomiczna narodnictwa i jej krytyka", pisał: „... materializm zawiera w sobie, że tak powiem, partyjność zobowiązując do tego, aby przy wszelkiej ocenie wydarzeń stawać wprost i otwarcie na stanowisku określonej grupy społecznej". Komunistyczna partyjność oznacza zatem świadomą obronę interesów klasy robotniczej. Tak pojęta zasada przyświecała Leninowi we wszystkich sferach działalności, także na polu tworzenia podstaw socjalistycznej literatury i sztuki.

Wprawdzie krytycy burżuazyjni starają się prezentować zasadę partyjności, jako kategorię czysto polityczną, nie mającą zastosowania w sztuce, to jednak praktyka wykazała ich pomyłkę. Lenin zasadę partyjności pojmował zarówno jako racjonalną, jak i emocjonalną obronę interesów narodu, klasy robotniczej. W pracy „Jakiego dziedzictwa się wyrzekamy?" w 1897 roku pisał: „Jeśli znana doktryna wymaga od każdego działacza społecznego nieubłaganie obiektywnej analizy rzeczywistości i kształtujących się na gruncie tej rzeczywistości stosunków między różnymi klasami, to jakim że cudem można stąd wywnioskować, że działacz społeczny nie powinien sympatyzować z tą lub inną klasą, że tego mu nie wolno? Śmiesznie nawet mówić tu o powinności, albowiem żaden żywy człowiek nie może nie stawać po stronie tej lub innej klasy, nie może nie cieszyć się powodzeniem danej klasy, nie może nie smucić się jej niepowodzeniami, nie może nie oburzać się na tych, którzy są wrogami tej klasy, na tych, którzy przeszkadzają jej rozwojowi przez szerzenie wstecznych poglądów itd. itd".

5.

Powracając po okresie schematyzmu do leninowskich zasad życia partyjnego, posługujemy się dziś w sposób pełny nauką Lenina, także w zakresie literatury i sztuki. Polityka kulturalna Partii, wiodąca od VIII Plenum przez III, IV i V Zjazd, charakteryzuje się marksistowską inspiracją ideowo-polityczną, programem popierania sztuki, oddającej pełną prawdę o naszych czasach i drogach społecznego rozwoju, opowiedzeniem się za wolnością twórczych poszukiwań w sferze środków wyrazu artystycznego, przejściem od krzywdzącego utożsamiania awangardy z dekadencją na rzecz pełnej oceny sukcesów i słabości nowoczesnych prądów w sztuce i zgodna jest z leninowskimi wskazaniami.

ANDRZEJ HAMPEL

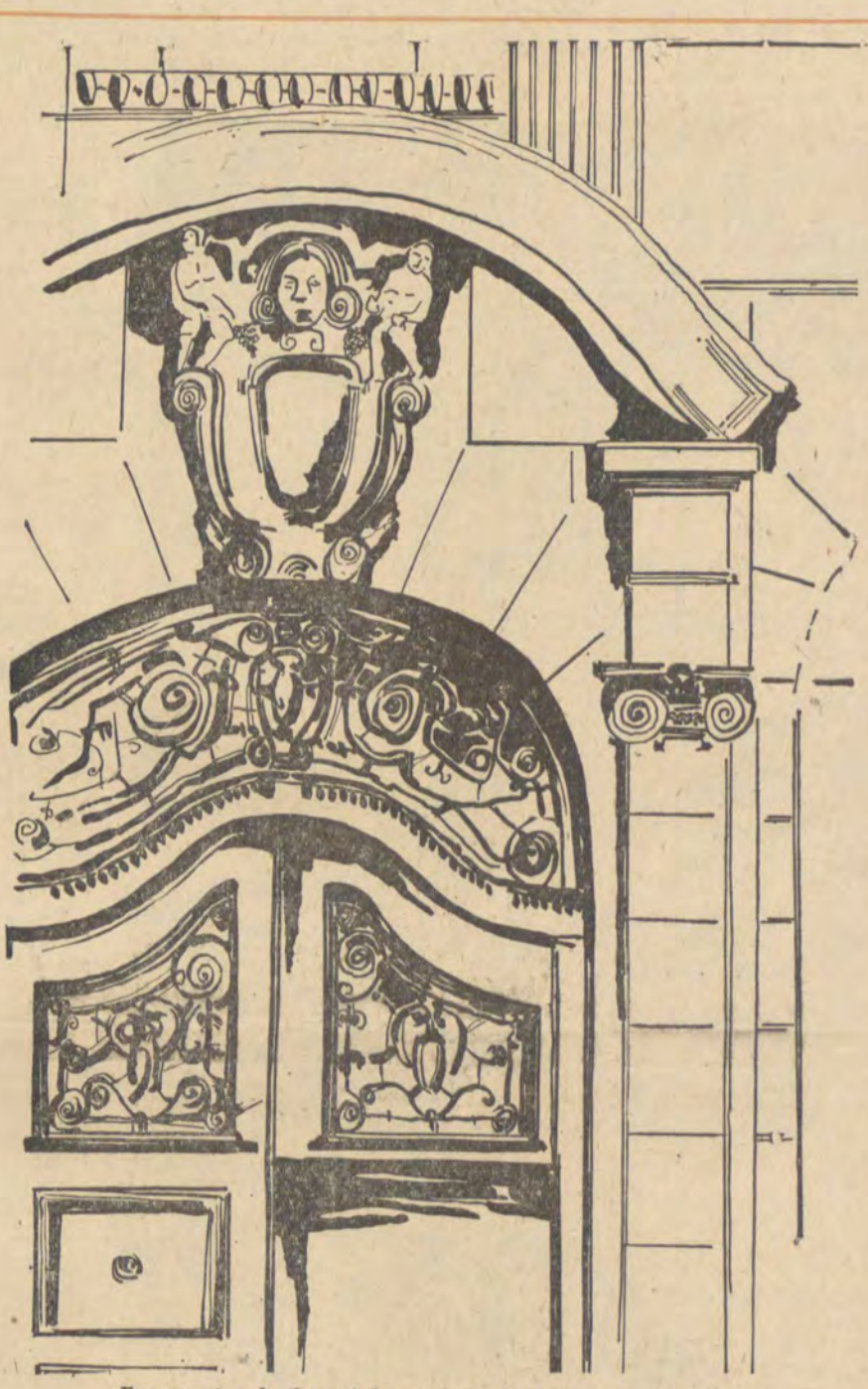

Fragment zabytkowej bramy przy Al. Kościuszki 33/35
Rys. Wiesław Karolak

Lenin a sprawa niepodległości Polski

Dalszy ciąg ze str. 1

programie rosyjskich marksistów pomaga (ona) faktycznie czarnosecińcom Wielkorusom".

Stanowisko bolszewików w kwestii narodowej przedstawił Lenin w 1913 roku w czasie pobytu w Krakowie. Po odczycie na temat: „Rosja współczesna a ruch robotniczy", w dyskusji wyjaśniając zagadnienie kwestii narodowej, stwierdził, że każdy naród winien mieć prawo do samookreślenia włącznie z prawem do oderwania się od Rosji. Zdaniem Lenina w Rosji, szczególnie dwa narody, Polacy i Finowie, ze względu na warunki historyczne i ekonomiczne mogłyby urzeczywistnić swoje prawo do oddzielenia się.

Dyskusja wokół kwestii narodowej odgrywała doniosłą rolę w czasie I wojny światowej, kiedy propaganda nacjonalistyczna przybrała szczególnie na sile. W łonie ruchu robotniczego nastąpiło przejście wielu działaczy na pozycje szowinistyczne. na współpracę z burżuazją. W Rosji mieńszewicy szermując hasłem „obrony ojczyzny" szerzyli w szeregach proletariatu rosyjskiego propagandę nacjonalistyczną. Lenin jako zdecydowany zwolennik jedności międzynarodowego ruchu robotniczego, ostro wystąpił przeciwko mieńszewikom. W grudniu 1914 roku napisał artykuł „O dumie narodowej Wielkorusów", gdzie zdecydowanie krytykował nacjonalizm wielkoruski pisząc: „Posiadamy w pełni poczucie dumy narodowej i właśnie dlatego szczególnie nienawidzimy swej niewolniczej przeszłości (kiedy szlachta obszarnicza prowadziła chłopów na wojnę, by dusić wolność Węgier, Polski, Persji, Chin) i swojej niewolniczej teraźniejszości, kiedy ci sami obszarnicy pospołu z kapitalistami prowadzą nas na wojnę, by dusić Polskę i Ukrainę, by dławić ruch demokratyczny w Persji i Chinach, by wzmacniać bandę Romanowów, Bobryńskich, Puryszkiewiczów, hańbiącą naszą wielkoruską godność narodową".

W 1916 roku Lenin napisał artykuł „O pokoju bez aneksji i o niepodległości Polski", prawie w całości poświęcony sprawie polskiej. W artykule tym, analizując nową sytuację, jaka wytworzyła się po zajęciu Królestwa Polskiego przez Niemców, wskazał na konieczność poparcia sprawy polskiej przez proletariat niemiecki. Wyśmiał jednocześnie hasła rosyjskiej reakcji i mieńszewików, którzy w tej nowej sytuacji nawoływali do walki z Niemcami, posługując się obłudnym hasłem „walki z aneksją", rzekomo w imię „samookreślenia narodu polskiego". Lenin zwrócił uwagę, że tak kajzerowskie Niemcy, jak i carska Rosja, w równej mierze zainteresowane są w zagarnięciu jak największej części ziem polskich. Wytyczając zadania dla proletariatu rosyjskiego i niemieckiego pisał: „Robotnik Wielkorus (i niemiecki) ma obowiązek opowiadać się za bezwarunkową wolnością oderwania się Polski, gdyż w przeciwnym razie jest on w praktyce lokajem Mikołaja II czy Hindenburga".

Konsekwentne stanowisko Lenina w kwestii narodowej znalazło swój wyraz w okresie po rewolucji lutowej w 1917 roku w orędziu Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z 27 marca 1917 r. — „Do Narodu Polskiego", gdzie powtórzono leninowską tezę o prawie narodu polskiego do niepodległości. Następnie po powrocie Lenina do Piotrogradu, na kwietniowej konferencji partii bolszewickiej opracowano rezolucję, która głosiła: „Wszystkim narodom wchodzącym w skład Rosji należy przyznać prawo do swobodnego oderwania się i utworzenia samodzielnego państwa". W dyskusji nad tą rezolucją Lenin wystąpił z krytyką stanowiska przedstawicieli SDKPiL, którzy byli przeciwni zasadzie oderwania się, Lenin stwierdził, że każdy kto występuje przeciwko tej zasadzie jest szowinistą.

Po zwycięstwie Rewolucji Październikowej rząd radziecki w „Deklaracji Praw Narodów Rosji" potwierdził leninowską zasadę o prawie narodów do samookreślenia. Następnie w podpisanym przez Rosję Radziecką brzeskim traktacie pokojowym z Niemcami Rosja zrzekała się wszelkich roszczeń do ziem polskich. Stosunek Lenina do Polski znalazł również wyraz w podpisanych przez niego dekretach Rady Komisarzy Ludowych o opiece nad zabytkami przeszłości należącymi do narodu polskiego oraz późniejszym ich zwrocie rządowi polskiemu.

Jednakże najważniejszym aktem prawnym, który był konsekwencją stanowiska Lenina i partii bolszewickiej w stosunku do narodu polskiego, był dekret Rady Komisarzy Ludowych z 29 sierpnia 1918 roku, anulujący traktaty o rozbiorach Polski, zawarte przez były rząd carski z monarchią pruską i austriacką. Dekret ten stwierdzał: „Wszystkie traktaty i akty, zawarte przez rząd byłego Cesarstwa Rosyjskiego z rządami Królestwa Prus i Cesarstwa Austro-Węgierskiego, dotyczące rozbiorów Polski, zostają ze względu na ich sprzeczność z zasadą samookreślenia narodów i rewolucyjnym poczuciem prawnym narodu rosyjskiego, który uznał niezaprzeczalne prawo narodu polskiego do niepodległości i jedności, zniesione niniejszym w sposób nieodwołalny". Pod dekretem na pierwszym miejscu znalazł się podpis przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych W. I. Uljanowa— Lenina.

WIESŁAW PUŚ

(Opracowano na podstawie DZIEŁ LENINA, wyd. polskie.

ZOFIA TARNOWSKA

Życie do stu dwudziestu

ROK 1904 — średnia życia ludzkiego w Europie wynosiła — 35 lat. ROK 1970 — średnia życia ludzkiego osiągnęła 70 lat. W Polsce statystyczny mężczyzna żyje ponad 67 lat, kobieta ponad 73 lata. W ciągu 34 lat — jak oblicza statystyka — przeciętna długość życia mężczyzny wydłużyła się o ponad 19 lat, a kobiet o blisko 22 lata. Dalsze przewidywania głoszą, że w roku 1985 będzie nas — obywateli PRL — blisko 40 milionów, a w tym około 5,5 miliona w wieku 60—79 lat. Ludzi, którzy przekroczą 80 rok życia oblicza się na co najmniej pół miliona.

Podobno według danych gerontologii średnia długość życia ludzkiego mogłaby wynosić 120 lat i więcej. Miecznikow i Bohomolec obliczają to na podstawie faktu, że w ZSRR już w latach dwudziestych tego stulecia było około 30 tys. obywateli ponad stuletnich, a 100 lat temu w całej Europie żyło 62,5 tys. stulatków. Na Kaukazie, w Tbilisi istnieje zespół pieśni i tańca złożony wyłącznie ze 100-latków. Francuz Desfournel w wieku 102 ożenił się z młodą kobietą i został ojcem kilkorga dzieci. Zmarł mając 119 lat. W Łodzi żyje 105-letnia Fr. Wojtynka — matka 12 dzieci.

W naszym mieście już 120 tysięcy osób przekroczyło wiek 60 lat, a ponad 40 tysięcy — 70 lat. Dalszy postęp nauk medycznych zapowiada rewelacje (m. in. w przeszczepianiu organów i stosowaniu leków zapobiegających nerwicom), które mają nam wydłużyć życie. Być może, że owe 120 lat, mimo wzrostu agresji nowych czynników chorobotwórczych (np. promieniowania) będzie ludzkości dane. Rzecz tylko w tym, w jakiej formie będą owe lata przebiegać. Od początku życia w organiźmie człowieka zachodzą procesy, które nie odwracalnie prowadzą ku śmierci. Najintensywniej starzejemy się... w niemowlęctwie. Zresztą starzeją się wszystkie organizmy. Zwierzęce i roślinne. Podobno starzeje się nawet materia nieożywiona. My, ludzie, chcemy długo i młodo żyć. Bo cóż nam po życiu, jeżeli mamy je wieść w charakterze niedołężnych staruszków? Stwierdzono z całą odpowiedzialnością, że w zasadzie po 40-tce zaczynają się ukazywać objawy starzenia. Według doc. dr K. Wiśniewskiej-Roszkowskiej, łodzianki, która od wielu lat zajmuje się geriatrią — nasze starzenie się jest przedwczesne, zawdzięczamy je przede wszystkim miażdżycy, patologicznemu zjawisku, które wywołuje powikłania chorobowe. Starzejemy się więc chorobliwie w warunkach, jakie nas otaczają. Tym warunkom wypowiada się — jak widać ze statystyki — coraz skuteczniejszą walkę.

Stajemy przed problemem, który nosi naukową nazwę „starość demograficzna". Dla kobiet jej próg wynosi 60 lat życia, dla mężczyzn — 65. W tym bowiem wieku ustawowo rozstajemy się z etatowym życiem zawodowym, przechodząc na zasłużony odpoczynek, czyli emeryturę, a w niektórych tylko zawodach możemy kontynuować pracę na półetatach lub w formach „zleconych".

Z naukowego toku myślenia wynika, że wiek emerytalny powinien być przesunięty w górę. Praktyka zaczyna to coraz dobitniej potwierdzać, bo okazuje się, że w większości wypadków kres naszej młodości i pełni życia następuje w momencie uroczystego żegnania przez szefa, personalnego i głównego księgowego, tudzież młodych kolegów — następców, przy dźwiękach gromkiego „sto lat". Człowiek z miejsca czuje się tak, jakby już te 100 lat miał i płacze rzewnymi łzami. Bo słusznie się mówi, że życie — to praca. Z drugiej strony — istnieje tendencja (lansowana np. przez kobiety-posłanki bieżącej kadencji) obniżenia wieku emerytalnego dla kobiet, że by sobie pożyły jeszcze bez dźwigania ciężarów równouprawnienia aż do bujnej siwizny, a zasłużone i zwyżkujące renty przeznaczyły na „użycie zycia". Jedni marzą o wcześniejszej emeryturze, drudzy załamują się psychicznie w poczuciu krzywdy, bo czują się doskonale pod względem fizycznym i umysłowym. To jest sprawa indywidualnych sił żywotnych.

Starzenie się i starość nie są tylko funkcją przeżytych lat, lecz w dużej mierze także odzwierciedleniem wpływów: otaczającego środowiska, trybu życia i odżywiania, nałogów, przebytych chorób, obciążeń — fizycznych, psychicznych i konstytucyjno-dziedzicznych oraz rodzaju wykonywanej pracy i szkodliwości zawodowych.

Z całym przekonaniem można stwierdzić, że sprawność i dobre samopoczucie będą nam towarzyszyły coraz dłużej i to nie tylko na skutek medycznych starań, lecz również w wyniku postępu technicznego oszczędzającego siły ludzkie, skracania dnia i tygodnia pracy itp. I coraz większy będzie późniejszy efekt „oddawania" przez umysł ludzki umiejętności, wiedzy i doświadczenia zdobytych w młodych latach, a uporządkowanych i pogłębionych w wieku średnim.

Tworzy się odmienna grupa społeczna, która musi mieć swe miejsce. Będzie ona nie tylko przedmiotem troski gerontologii medycznej, lecz także gerontologii społecznej i ekonomicznej. Jak najlepiej ukierunkować wartości ludzkie, kiedy już nieuchronnie trzeba będzie pożegnać ich jako zawodowo czynnych? Szereg dziedzin życia trzeba dostosować do potrzeb demograficznej starości: służbę zdrowia, usługi, zaopatrzenie, komunikację, mieszkania, zatrudnienie itd.

Rodzi się coraz więcej kwestii, pytań, rebusów życiowych, które trzeba rozwiązać. Konferencja naukowa Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej, która odbyła się w Łodzi, stanowiła ogólnopolskie forum, na którym toczyła się dyskusja wokół złożonych problemów starości. Temat (higiena wieku podeszłego) był podjęty po raz pierwszy w kraju, doskonale przygotowany ze strony naukowych dociekań — medycznych, socjologicznych, psychologicznych, ekonomicznych. Konferencja była hasłem wywoławczym — startem do dyskusji i wniosków praktycznej natury, które winny być opracowane pod przewodnictwem naukowców przez instytucje sterujące określonymi dziedzinami życia, przez nasze ustawodawstwo, prawodawstwo, administrację. Nauka wyciągnęła z życia bardzo trudne i złożone problemy. Rozszyfrowała ich genezę, określiła stan faktyczny, podała realne horoskopy. To jest grunt, na którym trzeba podjąć działanie praktyczne. Jednym z elementów będzie w naszych warunkach — przygotowanie — lub, jak to określono, wychowanie do starości, eliminowanie źródeł konfliktu, wynikających ze szczególnej sytuacji ludzi starych, profilaktyka zaburzeń nerwicowych wieku podeszłego oraz różne formy zapobiegania procesowi starzenia się.

Konferencja miała ogromne znaczenie, ale nie ruszy się z miejsca, jeżeli materiały na niej przedstawione pozostaną tylko w publikacjach fachowych wydawnictw. Spopularyzowane i powielone powinny być rozpowszechnione jako wskazówki dla praktyki lekarzy i dyrektorów fabryk, prawników i studentów, aktywu związków zawodowych i organizacji społecznych, projektantów, architektów i handlowców. Słowem — muszą wejść w życie i uzyskać powszechną akceptację.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Bunt, perwersja czy sentymentalizm?

Jerzy Jarmołowski jest autorem tomu wierszy „O dziewczynach żołnierzy" (1965) oraz arkusza poetyckiego „Lato rdzawe" (1965). Pozycje te spotkały się z niezwykle kontrowersyjnymi sądami recenzentów (Biskupski, Fornalczyk, Matuszewski, Pustkowski i in.). Już sam fakt sprzecznych opinii na temat twórczości młodego łódzkiego poety prowokował do uważniejszej lektury jego utworów. Zastrzeżenia krytyków tyczyły się zwłaszcza formy przekazu poetyckiego, jak i treści moralno-psychologicznych, jakie ze sobą niosły wiersze Jarmołowskiego. Nowy tomik wierszy „W którą tobie stronę" — wydany w bardzo starannej szacie graficznej, opracowanej przez Romana Prokulewicza *) — stanowi poświadczenie kontynuacji poetyki zapoczątkowanej w debiutanckim zbiorku. Jarmołowski wypracował, doprowadził do dojrzałej prawie formy specyficzny tok narracji lirycznej. Nie stosowanie interpunkcji w poezji tej jest zabiegiem świadomym, zapisów przypomina nieco technikę „ecriture automatique", stąd i nierzadko spotykany dowolny tok skojarzeń. Konsekwencje tej formy sięgają dość daleko, niosą ze sobą wizje odrealnione, nadrealistyczne oscylujące między rzeczywistością i nierealnością; motywy naturalistyczne częstokroć splatają się z imażynistycznymi. U podstaw tej poetyki tkwi pewnego rodzaju syntetyzm, a właściwie eklektyzm. Trudno jest tu dopatrywać się jakichkolwiek wpływów, jakkolwiek zauważalne są ślady lektur Leśmiana, Grochowiaka, a także i Gottfrieda Benna. Nie jest to dla poety, ani dla czytelnika istotne. Po prostu wpływy odgrywają w tej poezji najmniej znaczącą rolę, gdyż wierszy Jarmołowskiego nie możemy zaszeregować do żadnej z istniejących obecnie w Polsce szkół poetyckich. Dalecki jest autor od poezji lingwistycznej, czy też klasycystycznej, reistycznej czy abstrakcyjnej. Jarmołowski jest poetą oryginalnym z tym zastrzeżeniem, że oryginalność ta, moim zdaniem, nie jest oparta na trwałych podstawach.

„W którą tobie stronę" składa się z trzech cykli, przy czym drugi, najobszerniejszy „zapis niesystematyczny" jest zapewne najbardziej godny uwagi i zarazem najbardziej dyskusyjny. Dominuje w nim obsesja przemijania, efemeryczności zjawisk i rzeczy, egzystencji i esencji ludzkiej. Idzie za tym pewien bunt, negacja wartości estetycznych prowadzi do negacji wartości moralnych:

„wykopią nas z kolumny cyfr
z głodu i mięsa
z nagłej i niespodziewanej
i pościeli szpitalnej
a w czaszkach naszych znajdą
temperaturę słońca
skrzydła ptakom zapalą
od tego czasu
krzyk ptaków
zrówna się z prędkością światła
(zapis siedemnasty)

Czyżby akt desperacji? Chyba tak. Poprzez nieustanny ekshibicjonizm, ciągłe obnażanie ludzkiej gry, zabawy, perfidii, złudnego szczęścia poeta sięga dna, na którym zdobywa się jedynie na potężny krzyk „nie", na dezaprobatę wszystkich dotychczas wartości stworzonych przez człowieka. Wtóruje temu subtelna ironia, dowcip i parodie językowe, wątki balladowe oraz formy żartobliwo-makabrycznych przypowieści. Dość bogaty zestaw środków artystycznych podporządkowany jest fetyszowi, którym jest machina moralności i postępowania ludzkiego. Nie może Jarmołowski wyrwać się z kręgu tych obsesji, są one integralną częścią jego psychiki. Bunt, wyobraźnia zbuntowana do najbardziej możliwych granic, ale tym buntem, zdaje się, rządzi przede wszystkim przypadek.

Nie ma poezji bez przypadku. Przypadek warunkuje siłę subiektywizmu, liryczności, metafizyki, ale spowodowany ma być świadomie i rządzony logiką nie na zasadzie przypadkowości. Stąd nonkonformistyczna postawa Jarmołowskiego stanowi jedynie pierwszy etap racjonalnego buntu, etap burzycielski. Siła destrukcyjna zwycięża moc kreacji, a jeżeli takowa jest w tych wierszach to ma ona swój specyficzny odcień. Poeta kreuje nie rzeczywistość, a własne wizje, wizja stwarza nową wizję — łańcuchowy ciąg wizyjności. W ten sposób następuje oderwanie się od realnego podłoża. I w tym momencie odzywają się (pozornie niespodziewanie) w tej perwersyjnej wyobraźni (świadczą o takowej: „zapis skóry", „zapis na wszelki wypadek", „zapis o zabijaniu nie narodzonych" i in.) tęsknoty za krainą łagodności, światem nieco sentymentalnym, który przecież jest pośród nas i w nas samych tylko nieustannie bywa toczony przez „robaki niepokoju":

„latem na liście topoli przyszła rdza
oglądaj w ciszy te drzewa
to jest chory las
zakażenie następuje przez blizny
po opadłych liściach
drzewa pod korą
hodują rudy pomór
i tak jak w nas
czerń w sosnach
odkryją dopiero po ścięciu (...)"

To fragment jednego z najlepszych wierszy tego tomiku. Piękne zespolenie człowieka z naturą w cierpieniu, chorobie, ale potrzebne wszakże jest katharsis. Czy zdobędzie się na to Jarmołowski, trudno powiedzieć. Nie należę do zwolenników tego typu poezji, ale to wcale nie oznacza, że neguję jej wartości. Niszczyć wszystko w sposób o wiele doskonalszy aniżeli czynił to Herostrates w imię nowego, aczkolwiek jeszcze niewiadomego, to też sztuka człowiecza godna prawdziwej uwagi.

*) Jerzy Jarmołowski „W którą tobie stronę", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, 1969, s. 48 plus 4 ulb.

JAN BABIŃSKI

Plany były gotowe

Po obejrzeniu filmu „Bitwa o Anglię", nasuwa się pytanie:

Dlaczego Hitler, stojąc w połowie 1940 r. u szczytu wojennych powodzeń zrezygnował z inwazji na Brytyjskie Wyspy? Czy miał w ogóle kiedykolwiek zamiar istotnie w Anglii wylądować? Może to wszystko było wojennym bluffem, humbugiem i jedynie grą pozorów? Dziś można się już pokusić o rzeczową odpowiedź na wszystkie pytania. Minęło tyle lat. Wszystkie prawie tajne dokumenty, przechwycone w Niemczech przez aliantów podczas ich kwietniowej ofensywy z 1945 r. i zdeponowane w angielskich sejfach, zostały już udostępnione. Toteż w ostatnich latach ukazało się na Zachodzie wiele nowych publikacji, których tematem jest operacja „See-Love" — „Lew Morski". Wszystkie te książki są dziełami wybitnych historyków, wszystkie też czyta się jednym tchem.

Hitlerowskie wojska zajęły Francję. Co dalej? W kwaterze Hitlera odbywały się narady przez cały czerwiec 1940 r. Anglia musi być rzucona na kolana. W każdym razie musi zgodzić się na pokój. Dlatego przeważała opinia, że inwazji uniknąć się nie da. Czy są po temu środki? Na widowni pojawił się profesor Gottfried Feder. Miał już gotowe plany olbrzymich „morskich krokodyli". Nową bronią miał być tank-amfibia z żelazo-betonu. ...Jego długość miała wynosić 30 metrów tak, że we wnętrzu monstrualnego pojazdu, który by się poruszał po dnie morza, znalazłoby się miejsce dla 200 żołnierzy w pełnym uzbrojeniu. Tank miał o własnych siłach, przy pomocy potężnych motorów, sforsować kanał La Manche i ruszyć od razu do szturmu na angielskie umocnienia przy brzeżne. Projekt Federa zbytniego entuzjazmu nie wywołał. Z życzliwym przyjęciem spotkała się natomiast propozycja budowy czołgu — amfibii zaopatrzonego w peryskop.

Pod koniec czerwca generał Jodl, szef Sztabu Dowodzenia „Wehrmachtu" przedstawił Hitlerowi plan ataku na Anglię. Jodl dopuszczał możliwość szturmu na Wyspy Brytyjskie nie tylko przy użyciu lotnictwa, ale też łodzi podwodnych. Lotnictwo miało zrównać z ziemią wszystkie newralgiczne punkty na lądzie, łodzie podwodne miały sparaliżować kraj ekonomicznie. Gdyby udało się przerwać dostawy surowcowe i żywnościowe, wówczas rząd angielski w krótkim czasie sam by poprosił o pokój. Lądowanie należałoby traktować jako „ultima ratio". To już by była ostateczność, gdyby wszelkie inne argumenty zawiodły i Londyn wciąż nie był skłonny do podjęcia negocjacji pokojowych. Siły Anglii są niewielkie. Na Wyspach Brytyjskich znajduje się 39 dywizji, ale tylko 19 z nich jest zdolnych do natychmiastowej akcji.

Dopiero jednak 16 lipca 1940 r. Hitler podpisał dokument określony jako „Dyrektywa nr 16, przygotowania do inwazji na Anglię" — „Naszym celem — głosił Hitler w owej dyrektywie — jest wyeliminowanie Wielkiej Brytanii, das englische Mutterland, jako bazy z której mogłyby być w przyszłości prowadzone operacje przeciw Niemcom. Jeśli to okaże się konieczne, naszym celem będzie okupacja całej Anglii..." Bezpośrednie szefostwo nad operacją „Lew Morski" miało spoczywać w rękach Hitlera. Działaniami militarnymi na lądzie, morzu i powietrzu mieli kierować Brauchitsch, Goering i Raeder. Pierwszego dnia miało wylądować na wybrzeżu między Isle of Wight a Ramsgate 90.000 wehrmachtowców, trzeciego dnia inwazyjna armia liczyłaby już 260.000 żołnierzy.

31 lipca Hitler zaprosił do Berghofu Brauchitscha i Raedera. Konferencję zagaił Raeder długim raportem o przygotowaniach do inwazji na Anglię. Wszystko idzie dobrze. W portach północnej Francji czekają na załadunek barki i motorówki. Stoją też w pogotowiu okręty handlowe, które się pośpiesznie dozbraja i przebudowuje. Niemiecka marynarka mogłaby przystąpić do akcji zaczepnej już w połowie września. Hitler zadecydował jednak że pierwszych operacji winna dokonać „Luftwaffe".

Rozpoczęła się bitwa powietrzna o Anglię. We wrześniu 1940 r. Brytyjczycy posiadali na lotniskach 600—700 zdolnych do akcji myśliwców. Przeciw tym siłom Goering rzucił „Luftflotten" 2, 3, i 5". Łącznie było tego blisko 2300 samolotów, z czego 929 myśliwców. Pierwsze wielkie bitwy powietrzne w pobliżu Londynu rozegrały się 13 sierpnia. Napięcie wzrastało z dnia na dzień. Potem wzrastało już z godziny na godzinę. 11 września przed mikrofonami BBC stanął Churchill. W przemowie utrzymanej w niezwykle uroczystym tonie ostrzegł naród angielski przed inwazją. — „Ta inwazja może nastąpić już w każdej chwili. Nie można jej wszakże dokonać bez „air superiority", bez przewagi w powietrzu, której Niemcy po dziś dzień jeszcze sobie na angielskim niebie nie wywalczyli..." Churchill kładł nacisk na niezwykle groźną sytuację w jakiej znalazła się Wielka Brytania. W jego mowie pobrzękiwały jednak tony niezachwianej wiary w ostateczne zwycięstwo.

Według M. Butlera, historyka, wydawcy, wielkiej serii „History of the Second World War" — historia drugiej wojny światowej, największe straty w bojach o Anglię poniosły obie strony w dniach od 23 sierpnia do 6 września. Anglicy stracili w tym czasie 466 maszyn myśliwskich. Niemcy stracili 385 samolotów, w tym 214 myśliwskich. Walki nad Anglią należały do niezwykle trudnych i wyjątkowo zaciętych. Część angielskich historyków z typową dla Anglików tendencją do nazywania rzeczy po imieniu uważa nawet, że „Brytyjczykom sprzyjało szczęście". Zła, pochmurna i deszczowa pogoda zmusiła „Luftwaffe" do wielokrotnych przerw w nalotach, co umożliwiło pilotom „RAF" złapanie drugiego oddechu... Nie da się jednak zaprzeczyć, że rezultaty powietrznej ofensywy na Anglię były problematyczne i nie zakończyły się sukcesem „Luftwaffe". Dowództwo niemieckie zdawało sobie z tego w pełni sprawę. Na domiar złego w drugiej połowie września pogoda jeszcze bardziej się pogorszyła. Nad kanałem wisiały ciężkie chmury i wiały huraganowe wiatry. Hitler bez chwili wahania wydał nową „Dyrektywę", odkładające inwazję na Brytyjskie Wyspy „bis au weiteres", na jakiś dalszy, nieokreślony bliżej termin. Szybkość z jaką Hitler tę decyzję podjął już wtedy dawała do myślenia. W listopadzie 1940 w ogóle położył krzyżyk na wszystkich inwazyjnych planach, oświadczając osłupionym generałom, że jeśli to okaże się możliwe to „wrócimy do tej sprawy w 1941 r.".

Czy myślano więc o inwazji rzeczywiście na serio? Oczywiście, że myślano. Plany były gotowe. Opracowano je w drobnych nawet szczegółach. W ręce aliantów wpadły dokładne mapy niemieckich sztabów, na których widać jak na dłoni rozmieszczenie inwazyjnych dywizji. Na wet Himmlerowi wyznaczono zadania. Miał aresztować 2700 wybitnych osobistości angielskich. Listę otwierał Churchill, zamykała ją Virginia Woolf. Na czele „Einsatztruppen", które wsławiły się potem maskarami na Białorusi i Ukrainie, miał stanąć pułkownik „SS" profesor dr Six. Nominację podpisał szef „SD" Heydrich, jako że Six miał przejąć na terenie Anglii również zwierzchnictwo nad „Sicherheitsdienstem". Nominacyjny dokument zachował się w oryginale.

Plany były więc gotowe. Pytanie jednak brzmi: Czy nie były one zwykłą próbą szantażu i nacisku, by Anglia sama złożyła broń? Czy Hitler istotnie wkładał w te plany wszystkie swoje siły i możliwości? Angielscy historycy nazywają Hitlera z tego okresu „szatańskim geniuszem". Przyznają, że był blisko osiągnięcia swych celów. Ale i oni mają niekiedy wątpliwości, czy nosił się kiedykolwiek na serio z zamiarem zaatakowania Anglii od strony morza. Po pierwsze Hitler czuł do Anglii wielki szacunek i wielki też respekt. Kto czytał „Mein Kampf" zgodzi się chyba, że ze wszystkich prawie rozdziałów tej hitlerowskiej biblii przebija rewerencja Hitlera do Anglii i do Anglików.

Hitlerowi imperium brytyjskie zwyczajnie imponowało. Wielce pouczający pod tym względem jest „Dziennik" hitlerowskiego generała Haldera, który uczestniczył w wielu tajnych naradach w kwaterze Hitlera. Już wspomniałem, że 31 lipca Hitler zadecydował w Berghofie, że pierwsze ciosy winna zadać Anglikom „Luftwaffe". Ale tegoż samego dnia i na tejże konferencji z udziałem Brauchitscha i Raedera, wygłosił dłuższy monolog, którego fragment tak odtwarza generał Halder w swych pamiętnikach: „...będziemy dążyć do wyeliminowania tych czynników, w których Anglia wciąż pokłada nadzieję na zmianę sytuacji. Tymi czynnikami są Rosja i Ameryka. Kluczem całego problemu jest zniszczenie Rosji. Reperkusje tego zniszczenia uwidoczniłyby się natychmiast wzrostem japońskiej ekspansji na Dalekim Wschodzie. Taka ekspansja musiałaby związać siły Ameryki na Oceanie Spokojnym. W tym położeniu Anglia na pomoc Ameryki już by liczyć nie mogła. Wojnę już wygraliśmy, a jeśli Anglia wciąż trwa w bezmyślnym uporze to właśnie ze względu na Rosję. Jeśli zdruzgoczemy Rosję, to zdruzgoczemy też ostatnią szansę Anglii, ktorej Londyn tak kurczowo się trzyma. Wtedy zaś Niemcy staną się panami całej Europy i Bałkanów". Tak więc Hitler już w lipcu 1940 r. jeśli o czymś myślał poważnie to przede wszystkim o nagłym ataku na Związek Radziecki.

Tenże Halder kilkakrotnie jeszcze cytuje Hitlera, zawsze w kontekście z planowaną inwazją na Anglię. Ciągle powtarza, że „Fuhrer" wolałby się z Anglikami dogadać, że zbytnio mu na inwazji nie zależy, że operacja „Lew Morski", będzie tą ostateczną już ostatecznością. Niech Anglicy zostawią mu wolną rękę na wschodzie Europy, a przyrzeka, że ich imperium nie ruszy. Dlaczego miałby? Przecież to wcale nie leży w niemieckim interesie. W pewnej chwili Hitler oświadczył w swej kwaterze, właśnie w owe gorące, sierpniowe dni 1940 r. — „My byśmy przelewali krew a korzyści z rozpadu brytyjskiego imperium wyciągnęłaby Japonia, Ameryka, także inne państwa".

Ja bym powiedział: — Nie dajmy się zwariować, Hitler nigdy inwazji na Wyspy Brytyjskie zbytnio nie forsował. Jego oczy były zwrócone na Wschód. Sam chciał zbudować imperium, wzorując się właśnie na brytyjskim, tyle że jego niewolnikami mieli być nie Hindusi tylko owi „Untermenschen", podludzie, więc wszyscy bez wyjątku Słowianie. Wreszcie i to, że Hitler wcale nie dlatego jedynie odwołał operację „Lew Morski", że jego lotnictwo panowania nad angielskim niebem nie wywalczyło. Większa trudność polegała na tym, że był na morzu bez porównania od Anglików słabszy. Niemieckiej flocie nigdy nie udało się zaryglować kanału La Manche od zachodu i od wschodu wielkimi polami minowymi. A takie było założenie. Przewaga Anglii na morzu była druzgocąca. Niemieckie „U--Booty" mogły sobie polować na oceanie na niemal bezbronne okręty handlowe, nigdy jednak nie zanotowały poważniejszych sukcesów w bezpośrednim starciu z okrętami wojennymi „Royal Navy". „U-Booty" szły wtedy na dno. I to głębokie. To nie lotnictwo uratowało Anglię przed inwazją — uratowało ją morze.

Angielski historyk Ronald Wheatley takim oto stwierdzeniem kończy swą znakomitą książkę „Operation Sea--Lion". — Operacja Lew Morski, napisaną zresztą w oparciu o tajne do niedawna dokumenty: „Gdyby Anglia nie była wyspą, zostałaby zajęta z taką samą szybkością, jak przedtem Polska i Francja. Odczułaby na sobie ogromną przewagę niemieckich sił lądowych". Rezultaty tego były by tak przerażające, że trudno je sobie wprost wyobrazić".

Z woleja

Młodzież i sport

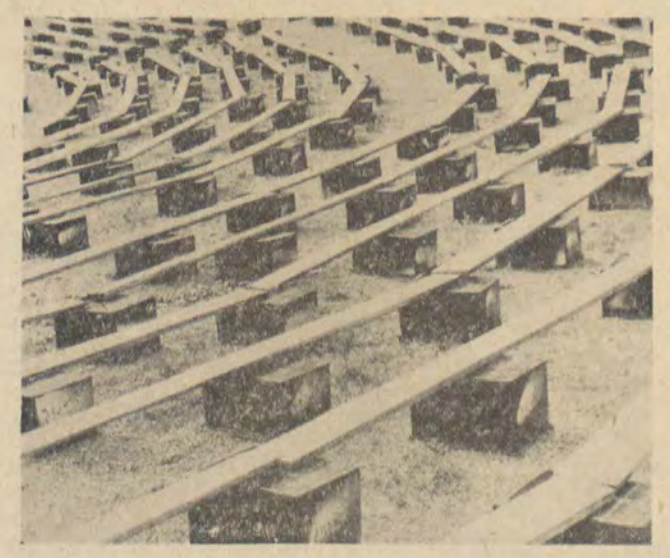

Im bliżej Olimpiady w Monachium, tym więcej mówi się o znaczeniu sportu szkolnego, wskazuje na swoiste rezerwy sportowe, twiące w ogromnej rzeszy uczniów — sportowców. Z ich szeregów mają rekrutować się przyszli olimpijczycy. Jest to słuszne podejście do problemu rozwoju polskiego sportu, rzecz jednak w tym, że u nas dużo więcej mówi się o sporcie szkolnym niż mu się pomaga. Fachowcy twierdzą nawet, że w stosunku do innych państw czy to obozu socjalistycznego czy kapitalistycznego jesteśmy pod tym względem o ładnych parę latek cofnięci. Wyraźnie widać to śledząc wyniki naszych sąsiadów „zza miedzy" — ZSRR, NRD i CSRS oraz chociażby Rumunii. Sport szkolny w tych krajach stoi na najwyższym poziomie o czym wyraźnie świadczą wyniki.

W gruncie rzeczy programy zajęć wychowania fizycznego w Polsce i innych państwach socjalistycznych niewiele różnią się między sobą. Zarówno w szkole podstawowej jak i średniej dzieci mają po 2 godz. wychowania fizycznego tygodniowo, oraz 4 do 16 godz. zajęć sportowych pozalekcyjnych. Gdzie więc leży przyczyna, że w międzynarodowych kontaktach międzyszkolnych dostajemy z reguły solidne cięgi od naszych sąsiadów?

Otóż za granicą, szczególnie w NRD, szeroko rozwinięty jest system tzw. szkół sportowych, grupujących najbardziej sprawną fizycznie młodzież danego miasta. W większych ośrodkach szkół takich jest kilka, a klasy dobierane są dyscyplinami, począwszy od tenisa stołowego, a skończywszy na lekkiej atletyce. I tutaj ciekawostka — w NRD największą wagę przywiązuje się do dyscyplin, w których można zdobyć najwięcej medali olimpijskich. Do takich należą np. lekka atletyka czy pływanie, gdzie medalami nagradza się indywidualnie poszczególnych zawodników, podczas gdy w siatkówce medale otrzymują wszyscy członkowie drużyny, ale liczy on się jako jeden, zdobyty przez zespół.

Wracając do szkół sportowych realizuje się tam normalny program zajęć ze wszystkich przedmiotów z tym, że grupa specjalistów w. f., z reguły najlepszych, w czasie pozalekcyjnym przeprowadza normalne treningi w odpowiednich dyscyplinach sportu. Nauczyciele ci zajmują się tylko trenowaniem młodzieży, nie prowadzą z reguły zajęć w klubach i są ze swej pracy skrupulatnie rozliczani.

A u nas? Znam w Łodzi takich nauczycieli — trenerów, którzy są specjalistami jednocześnie od piłki nożnej, piłki ręcznej i łyżwiarstwa figurowego, pracując w szkołach prowadzą również treningi w klubach. Goni taki „omnibus" z treningu na trening, niecierpliwie spogląda na zegarek i jasne jest, że z żadnego z powierzonych mu obowiązków nie wywiązuje się należycie. Nie generalizuję tutaj, większość nauczycieli rzetelnie wykonuje swój zawód, ale zbyt wielu jest jeszcze takich, którzy w podany wyżej sposób postępują.

Sprawą drugą jest baza, czyli urządzenia sportowe. Jest ich wystarczająca ilość i to zarówno sal jak i boisk przyszkolnych, gorzej jest jednak z ich jakością. Wymiary sal zatwierdzone przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego (9x18, 11x22 i 12x24), nie są zgodne z wymiarami, wymaganymi przez związki sportowe. Przeważają sale o wymiarach średnich, ale jedynie na sali 12x24 m. można rozgrywać mecze siatkówki, gdyż boiska do tej gry tylko w tych salach mają wymagane regulaminem wymiary. Chodzi tu oczywiście o sytuację, kiedy MKS startuje w rozgrywkach klasy państwowej. Sali szkolnej, na której można grać mecze w koszykówkę czy piłkę ręczną w Łodzi nie ma. Pierwszą jaskółką poprawy tej sytuacji jest porozumienie o współpracy między łódzkimi szkołami a klubami sportowymi, ale jak do tej pory znajduje się ono w fazie dopracowania. W końcu lepiej późno niż wcale.

Nie jest najlepiej z boiskami przyszkolnymi. Na całym świecie obowiązują już nawierzchnie twarde, tymczasem żadne z przedsiębiorstw nie chce się podjąć ułożenia na boiskach szkolnych dywanika smołowego, gdyż jest to praca zbyt drobną i nie opłaci się. Stąd wiele boisk praktycznie nie nadaje się do prowadzenia zajęć tak, jak powinny się one odbywać.

Chciałbym tu jeszcze zasygnalizować takie problemy, jak słaba jakość sprzętu sportowego w szkołach, załatwianie przez rodziców u lekarzy zwolnień dzieci z w. f. i jeszcze wiele innych spraw rzutujących na nie najlepszy poziom sportu szkolnego. Podstawowe warunki dla jego rozwoju zostały stworzone w sposób dostateczny. Dużo jednak zależy tutaj od nauczycieli, młodzieży, rodziców. Wielokrotnie inicjatywy pedagogów, rodziców czy samych młodych sportowców pozwalają zapełnić luki istniejące jeszcze w naszym sporcie szkolnym. Wiele zależy także od Szkolnego Związku Sportowego, którego działalność przedstawia jeszcze wiele do życzenia. Trzeba się spieszyć, olimpiada już blisko, a zaległości do odrobienia dużo.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

JANKA BRYL

Kozaczek

Omszały chutor Batrakowa Kępa leży w głuchym, zapadłym kącie Puszczy Nalibockiej.

Nocami dziki ryły ziemniaki nie mal pod oknami chaty, a za dnia, jeśli do chutoru trafił obcy człowiek, jędrna, czerwonopyza Mania, jedyna córka wdowy Batraczychy, chowała się do komórki lub za piec.

Na początku wojny huczały nad polaną samoloty i słychać było zda się całkiem niedaleki huk armat. Jednak żołnierzy na chutorze nie widziano: nie szli tędy ani nasi, odstępujący, ani też Niemcy.

Teraz, przed drugą zimą partyzanckiego panowania, zmieniło się wszystko. Batraczycha to wojowała z wesołymi chłopcami o każde naręcze szorstkiego leśnego siana, to znów jednała się z nimi, smakując przywiezioną z dziesiątej wioski samosiejkę. A Mania na tyle przywykła do ludzi, że już zupełnie jawnie szykowała się do powiększenia rodziny.

Partyzanci zatrzymywali się w chutorze przejazdem czy w przemarszu, a już najczęściej minerzy idący na dywersję w stronę kolei żelaznej, czy wracający do obozu. Batraczycha poznała ich w tym czasie tylu i tak dobrze, że każdego nieznajomego uważała za nowicjusza w puszczy i nazywała „świeżakiem".

...Misza Sporyk, jeszcze dwaj chłopcy i Wala przyszli do Batrakowej Kępy o zmierzchu.

— Jak się masz, ciotka! Patrz, jaki z nami kwiatuszek! Świeżutka! Kozaczek!

Batraczycha aż ręce rozwarła.

— Ach, Miszeczka! Ach, dola moja! Znów dziewczyna w portkach! Z karabinem! Świat się przewraca do góry nogami!

A „świeżutka" jakby nigdy nic, śmieje się. Oparła karabin, usiadła i głęboko, z ulgą westchnęła.

— Och, żeby jeszcze trochę, a pewnie bym nie doszła.

I takie to od mrozu rumiane, a takie zgrabne. Istny chłopak! A jak zdjęła kubańską czapkę i zaczęła się poczesywać — te loki dziewczęce, ten grzebyczek... A jak zdjęła rzemień i wyszywany kożuszek — te piersi, i w ogóle...

I dlatego, kiedy się szykowali do spania, Batraczycha szepnęła:

— Ty, gołąbko, kładź się ze mną. Mańka niech na piecu. I kładź się od ściany, a ja od izby. Moja głuptaska też tak przedtem zuchowała.

Ale „świeżutka" zaśmiała się w odpowiedzi i położyła się sama od strony izby.

Jej śmiech zrozumiała gospodyni na swój sposób.

— Nie zhańbi — szepnęła z boku w samo ucho — nie bój się. Aby żyw — zdrów był...

Pytania „kto" nie doczekała się od Wali i wyjaśniła:

— Dobry chłopiec. Utkin. Zwiadowca. Ślusarz. I na gitarze gra. Przysięga: „Wezmę ze sobą".. Aż gdzieś za Moskwę.

I pomyślawszy, dodała:

— Bo u nas, widocznie, wiercipięta nie zechce żyć.

„Świeżutka" jednak zasnęła na dobre.

Ale to tylko zdawało się Batraczysie.

Dla „kozaczka", to jak i wczoraj, zaczęła się bezsenna noc.

Ale cóż to za bieda! Czy brodzisz cały dzień po śniegu, czy siedzisz za stołem — wciąż te same myśli, to samo na sercu. Od samego rana czekasz nocnej samotności, żeby znów bez końca marzyć...

Marzyć nie o byle czym, ale o nim właśnie, którego wreszcie znalazła, który jest.

A „on" długo nie zjawiał się. Początkowo nawet nie istniał w marzeniach. Mała Waleczka, przybiegłszy z ulicy, gdzie chłopcy zawsze brali górę, dopytywała się z płaczem u mamy, dlaczego ona nie jest chłopcem. Jako podlotek biła się z chłopakami, jeździła konno, na nartach i często myślała o tym, z jaką przyjemnością włoży łaby buty z ostrogami. Podobać się zaczęła dość wcześnie. Wcześnie mogłaby przyjść i miłość, ale Wala nikogo ze znajomych chłopców nie lubiła. I dlatego, gdy była z którymś z nich sam na sam, nie ulegała pokusom ani wzruszeniom. I tak rosła, jak dziczka. Kosiła, orała, po męsku witała się mocną, szorstką dłonią.

Znudziło jej się chodzenie na zwiady w roli łączniczki, dostarczanie papierów i medykamentów. Przeszła do oddziału sama, wbrew woli dowództwa, z którym była związana. Do kuchni nie chciała, do izby chorych też nie — postanowiła być żołnierzem.

Z początku w męskiej ziemiance było trochę nieswojo. Jednego z junaków, który był nazbyt pewien swych powabów, kropnęła nawet dla przykładu kolbą nagana pod brodę.

I wtedy zjawił się „on".

— Tak i trzeba! — powiedział. — Teraz, chłystku, oblizuj się. A będzie ci mało — ja poprawię!

To był Misza Sporyk, dowódca minerskiej grupy.

On był w oddziale cały czas, Wala jednak znała go jeszcze przed tem, nim dołączyła do oddziału. Przecież dla niej pojawił się jakby po raz pierwszy dopiero teraz, w ten dzień. Od tego się zaczęło. Z początku była to zwykła przyjaźń, a potem... potem zdarzyły się dwa wypadki.

Najpierw to wtedy, kiedy ich oddział natknął się nocą na zasadzkę i z ośmiu partyzantów tylko troje, razem z nią, ocalało. Wala do bólu przestraszyła się śmierci. Jakby dopiero teraz zrozumiała, że ma dziewiętnasty rok...

A innym razem, gdy się zatrzymali we wsi, wzięła na ręce dziecinne swej przyjaciółki i zupełnie nieoczekiwanie, z nie znanym dotąd uczuciem, zrozumiała, jak bardzo chce żyć i żyć — nie w samotności...

Od tego dnia pojawiły się bezsenne noce i rozdwojenia: jedna Wala, ta dawna, jeszcze nie bała się zostawać z Miszą sam na sam; druga Wala, ta nowa, już i bała się ich samotności i jednocześnie marzyła o niej...

Ona cierpliwie czekała — to trwożnie, to nawet z pewnością — że Misza wreszcie zacznie: powie jej to, co ona już setny może raz (e, gdzie tam setny!) mówi mu całą swą duszą, tak, jak należy z początku dziewczynie, bez słów. I w tym nie kończącym się oczekiwaniu jawiły się obrazy ich przyszłego szczęścia.

A Misza jak gdyby nie myślał o tym.

Choćby i teraz — spokojnie śpi, chrapie sobie z chłopcami na podłodze. A ona, jak legła obok starej, tak i leży na plecach, nawet ręce złożyła, jakby przytrzymując serce. Patrzy w ciemność i szepcze bez słów:

„Cóż, chyba mi samej podejść do ciebie i powiedzieć:

— Czyżbyś ty myślał, że ja naprawdę „kozaczek", że ja naprawdę „dzika"? Ależ to tylko dla innych taka, dlatego, że wciąż szukałam ciebie. Czyż ty nie wiesz, Misza, dlaczego sama przeszłam do twojej grupy? Czyżbyś myślał, że tylko dlatego, że zazdrościłam wam? Eh, ty!... Ty czekasz, że może ja...".

Ale nagle zlękła się tych myśli, w ciemności zacisnęła oczy i, obróciwszy się do gospodyni, utknęła twarzą w poduszce.

— Ty co, czyś czasem nie chora, dziewczyno? — szeptem spytała Batraczycha. — Zanim zaśniemy, to ludzie i noc rozdzielą: dla nas nic nie zostanie...

„Świeżutka" chciała to zbyć milczeniem, ale, odczekawszy chwilę, niby to żartem, chichutko poprosiła:

— A ty mnie, ciotko, rzeczywiście puść lepiej pod ścianę...

Znów idą.

Po spulchnionej odwilżą drodze. Między nędznymi zaroślami. Polanami obok szarych gospodarskich zabudowań. W zaciszu wysokiego lasu.

Przodem jedzie podwoda. Na niej karabiny, granaty, trotyl. Woźnica klęczy w saniach-rozwalinach i ponuro, jak i ten chmurny dzień, milczy. Kobyłka telepie się aby-aby, a potem, kiedy ją chłoszczą sznurkowatymi lejcami po wyschniętym, kanciastym krzyżu, idzie truchcikiem i potyka się, zaczepiając podkową o podkowę.

Misza coś opowiada, a chłopcy śmieją się.

Ale Wala bodajże go i nie słyszy. Ona i nie słucha. Wspominając noc z tym dziwnym swoim zapomnieniem, nawet jest rada, że idzie w tyle i Misza jej nie widzi.

Znów wraca do niej nastrój tamtych dni — radosne oczekiwanie samotności i ten wstyd, że tak wczoraj się rozkleiła.

„Niech ci się nie wydaje, że sama będę się napraszać" — myśli Wala.

— Dźwina, bracie, to nie to, co Niemen — opowiada Misza. — Ona wylewa jak morze! Przypomniał mi się, chłopcy, pewien drobiazg. Kra idzie Dźwiną, że groza ogarnia człowieka, a na krze siedzi, bracie, czerwony kogut. Tu śmierć przed nosem, a on — ku-ku-ryku!...

„Tobie, gołąbku, jakby nigdy nic, śmiejesz się, a ja..." — myśli Wala.

Naśmiałem się z koguta, a potem pewnego razu i sam...

Nagle urwał.

Z boku, całkiem blisko, od drogi, gdzie chutor na wzgórzu, dobiegł okrzyk: „halt!" i „stój". Potem wyłaniają się trzy wrogie postacie: żandarm i dwu policjantów... Chłop z bronią odjechał daleko naprzód, i wrogom bliżej do niego. Broń w saniach, na szczęście przykryta kożuchem. Chłop, jakby olśniony zbawczą myślą, biegnie w kierunku Niemca i zdyszany wykrzykuje:

— Swój! Swój!... My z Łuży! Z Łuży, panoczku! Dalibóg!...

Policjanci spokojnie, pewni siebie, brną, po śniegu po kolana, nawet karabinów nie trzymają w pogotowiu.

Szary Niemiec — trochę z boku i od tyłu — wolno zbliża się do chłopa. Naprzeciw policjantów stoi jeden Misza. Szedł pierwszy, a teraz wysunął się jeszcze naprzód. Ręka w kieszeni kożuszka, zbladł, tylko nozdrzami porusza, jakby gotowy do skoku.

Jeden policjant odłącza się, idzie prosto na niego. Drugi — na Wołodię. Policjant coś krzyczy, wymyśla, już gotów przetrącić go po uchu. Kiedy podszedł już zupełnie blisko, Misza pyta go prosto z mostu:

— A ty może i uderzyć chcesz, sukinsynu?

Policjant mamrocze pobladły:

— Ależ co wy, towarzyszu, za co...

Potem raptownie odskakuje w bok i chwyta za zamek karabinu. Misza wyszarpnął z kieszeni nagan. Strzela. Policjant rozkładając ręce, wali się na wznak.

Za tym wystrzałem, jak echo, grzmi pełny karabinowy strzał: drugi policjant bije w Miszę. Misza jakby zachwiał się, a potem strzela znów jeszcze, jeszcze raz. Policjant najpierw siada na śniegu, a potem kładzie się.

Niemiec terkocze z automatu po długim, zatłuszczonym kożuchu chłopa i rzuca się do ucieczki...

Misza pierwszy biegnie do kobyłki, która rada, że jej nie chłoszczą lejcami, spokojnie stoi na drodze. Misza biegnie jakoś dziwnie, zygzakiem, bokiem, zdyszany. Ciężko pada na sanie i krzyczy:

— Poganiaj!

Wala podbiega z tyłu, pada prosto na niego i też coś krzyczy.

Ale dopiero Kostuś i Wołodia, dobiegłszy, podrywają kobyłkę do biegu.

A tu ze wzgórka, z chutoru — tam się zatrzymał Niemiec, gadzina! — pruje po nich automat.

Wala nie słyszy jak blisko śpiewają kule. Czuje tylko „jego" bliskość i szczęśliwa, nareszcie szczęśliwa, szepce:

— Ja nie dam ciebie więcej, ja cię osłonię.

Na tym dla Wali kończy się wszystko.

I znów do leśnej głuszy po drodze wlecze się chuda kobyłka.

Teraz już nie chłop a Kostuś chmurny klęczy na przedzie sań.

Na słomie, pod długim kożuchem, leżą we dwoje: Misza i Wala.

Chłop-woźnica i czwarty towarzysz, Wołodia, zostali koło chutoru na zawsze.

Krzywy lęk z wiśniowego drzewa raz po raz zahacza o nisko zwisające łapy jedliny i śnieg łaskotliwie prószy na bladą twarz „kozaczka". Oczy z czarnymi, długimi rzęsami ma zamknięte. Ale pod nimi wyczuwa się życie. Poprzez głuchy ból w prawym boku, mocno owiniętym lnianym ręcznikiem, słyszy chwilami, jakby z daleka, wysoką, białą pieśń płozów i czuje śnieg, niby pieszczotliwy dotyk. Potem nawet otwiera oczy i powoli, z trudem, uświadamia sobie, że szaro-zielona siatka nad nią — to jedlina i niebo...

W oczach faluje mgła, a potem, obok niej, niezmiernie bliski głos mówi:

— Lepiej ci trochę? No, to dobrze. A to nam się poszczęściło. Razem, dziewczyno, będziemy się mieli z pyszna...

Chciałaby coś odpowiedzieć. Ale nie może.

Przymknęła oczy, uśmiecha się tylko.

Tłum.: **Maciej J. Kononowicz**

PAWEŁ ANTOKOLSKI

Baśń Zawiei

Prawda to — nie wiem — czy podanie,
Powiem, com słyszał — bez okrasy.

Raz pewien student żył w Kazaniu
W domku wśród śniegów — dawne czasy.
A wszystko przed nim: i Genewa,
I dni więzienia, pracy, biedy,
Rodzenie Prawdy w iskrze Gniewu —
To przed nim było jeszcze wtedy...

Odsunął szachy. Knot zetlały
Podkręcił. Wsłuchał się w zadymkę.
I oko w oko z globem całym
Został jak gdyby w pojedynkę.
I słyszy — poprzez świst komina
Śpiewa srożąca się śnieżyca.
Jaka srożenia się przyczyna?
Nie zna spokoju czarownica...

Ledwie pomyślał, wichru słucha,
Gdy drzwi otwarły się na oścież —
Wchodzi odziana w śnieg starucha
I doń uśmiecha się z ciemności
Student wzniósł lampę nagłym ruchem,
By w marę wpatrzeć się śniegową —
Nie darmo był od dziecka zuchem
Chłopiec — marzyciel z jasną głową.
— Kim jesteś, babciu, z mrozu sina?
Co cię sprowadza do studenta?
— Jestem Zawieja. Od godziny
Patrzę w twe okno, przemarznięta.
— Widzę, skostniałaś. Cienkie botki
Nosisz, salopę w dziurach całą.
Wejdź, proszę, dam herbaty słodkiej,
Odkraję chleba — jak przystało!
Wybacz pytanie me nieskromne:
Gdzie przenocujesz dzisiaj w nocy?

Westchnienie wzniosło się ogromne:
— Mój chłopcze, czekam twej pomocy!...
I rozgadała się starucha,
Dziwne to było przemówienie,
Niezwykłe dla ludzkiego ucha —
Świat jakby popadł w odrętwienie...

— Jam bardzo stara, towarzyszu,
Jam tysiącletnia czarownica —
Ludzie mnie nad zgliszczami słyszą,
Gdy wyje nocą dujawica.
„Towarzysz" to mój dar dla ciebie.
Niechaj rękojmią będzie twoją
Mój wielki chrzest — w najświętszym gniewie
Przypomnisz sobie o nim w boju.

Student staruszce zajrzał w oczy
Przez kłębowisko niepogody,
Zajrzał jej w oczy i — odskoczył,
Bo choć był nadal jeszcze młody,
Ujrzał, co za pół wieku będzie.
Zawieja — szast! — sposobem starym,
Trzaskając białym biczem w pędzie,
Jakby zwiększała dopływ pary:

— Jeszcze nie raz na śnieżnej fecie
Spotkam się z tobą, duchu bratni!
Za tobą na Sybir przylecę
I w bój powiodę cię ostatni.
Gdy w biel ulotek się przeleje
To wszystko, o czym duch twój marzy,
I strajków robotniczych dzieje
Krzykną: „Stoimy tu na straży!" —
Zrozumiesz wtedy, że zawrzała
Wściekłością świętą nawałnica,
Przypomnisz sobie, co śpiewała
Niegdyś Zawieja — czarownica.
Na ziemi całej i nad ziemią
Niechaj wspomnienia twe zakrzyczą.
Będziemy razem i w podziemiu,
Miły Włodzimierzu Iljiczu!

A kiedy uśniesz już na wieki
z różami dookoła głowy,
Zmrużone zamknę ci powieki
W luty mróz trzydziestostopniowy.
Gdy rozpacz, zgroza w kłębach śniegu
Wszystkich porażą i oniemią,
Przylgnę do muru kremlowskiego
I szepnę: „Nie płacz, nie płacz, ziemio!"

Nadejdzie groźny czas blokady,
Nadciągną bataliony wrogie.
W gromach wojennej kanonady
Nad czarną Newą miasto drogie
Pod sztandarami twymi w dymie
Zniesie nad ludzkie wytrzymanie —
Ja twoje, towarzyszu, imię
Podam żołnierzom jak wezwanie —
I runą na skrzydłach nadziei,
Gromiąc najeźdźców nieulękle...
— Czy nie brzmi pięknie baśń Zawiei?

I student odpowiedział:
— Pięknie.

Przełożył Leopold Lewin

RYSZARD HUNGER HENRYK ANDERS

Plastycy odpowiadają na wyzwanie

Fot. W. Parys

Spór o łódzką społeczność plastyczną zaczął już przygasać, gdy do dyskusji włączyli się wreszcie sami artyści. Przemówili zbiorowo — zgodnie z założeniami i regułami gry, przedstawili na dorocznej wystawie okręgowej aktualną sytuację i bieżący dorobek środowiska.

Może na szczęście dla krytyki odpowiedź nie jest jednoznaczna ani nie wyczerpuje sprawy do końca. Nie padły jeszcze ostateczne wnioski, zabrakło też przynajmniej kilku poważnych argumentów: nie wszyscy i uznani artyści wzięli udział w wystawie. W dodatku głosy w chórze nie brzmią unisono. O ile graficy wystąpili gromko i z pasją, manifestując dobitnie swoje postawy i motywacje wyboru drogi twórczej, o tyle malarze i rzeźbiarze wypowiadają się tym razem grzecznie i z rezerwą. Umiar i wstrzemięźliwość trzeba, oczywiście doceniać, ale...

Oddawszy zatem należne brawa grafikom pomedytujmy trochę nad wystawą w Parku Sienkiewicza.

ZBIÓR POJEDYNCZYCH OKAZÓW

Od wejścia ekspozycja wygląda okazale, pierwsze wrażenie jest niewątpliwie pozytywne. Prac zdecydowanie słabych widzi się mniej niż zazwyczaj, ujawnia się raczej niezaprzeczalna i dość na ogół wyrównana sprawność warsztatowa. Demonstruje ją przede wszystkim liczne, jak zwykle, grono abstrakcjonistów ale i na przeciwległej ścianie, w kręgu malarzy przedstawiających, zwraca uwagę sporo obrazów wysokiej jakości. Ściąga spojrzenie parę celnie zakomponowanych martwych natur: subtelna w gamie barw i wysmakowana w zestawie kształtów-znaków plastycznych Mariana Jaeschkego, monumentalizowana a przy tym jak by wyciszona Wiesława Garboliń skiego, ekspresyjna i agresywna w wyrazie Benona Liberskiego, podniecająca mocnym kolorytem Józefa Wasiołka. Mogą się również podobać niektóre pejzaże — jedne liryczne w nastroju, delikatnie malowane i naprawdę ładne inne urzekające niekłamanym temperamentem.

Jednakże, mimo wielu zalet wystawa nie spełnia jednego z zasadniczych postulatów, nie daje jasnego pojęcia o środowisku, przeciwnie rysuje jego wizerunek zmącony i jak gdyby zniekształcony. Gdy każdego artystę rekomenduje jedno tylko dzieło, widz, jeśli nie zna i nie pamięta twórczości któregoś z malarzy, nie uprzytomni sobie, czy jest to dzieło rzeczywiście reprezentatywne dla autora, czy o wystawieniu nie przesądził przypadek, zbieg okoliczności lub smak zespołu jurorów — mniej lub więcej kompromisowa decyzja. Wiadomo przecież, że w malarstwie współczesnym, a w szczególności w malarstwie typu abstrakcyjnego, obowiązuje swoiste prawo serii — pojedynczy obraz należy traktować jako fragment pewnego cyklu, w którym artysta stara się rozwiązać nurtujące go problemy. Obraz taki wyrwany z kontekstu traci wiele na wymowie. Mówi najwyżej o sferze zainteresowań, czy o wspomnianej już sprawności warsztatowej, ale nie odsłania prawdziwego oblicza artysty, ani nie ujawnia jego możliwości twórczych. W rezultacie przy podobnych założeniach ekspozycyjnych można konfrontować poszczególne prace, ale nie wolno konfrontować malarzy. Ocena mogłaby być krzywdząca, zwłaszcza dla debiutantów, gdy pamięć nie podsuwa materiału do porównań.

POKOLENIE OSTROŻNYCH

Najmłodsi, którzy debiutowali względnie niedawno, nie dalej jak przed dwoma, trzema laty — a zebrało się ich na wystawie około dwudziestki — dobijają się jeszcze miejsca pod słońcem. Zabiegając o akceptację swoich poczynań pragną raczej przystosować się do środowiska niż mu się otwarcie przeciwstawić. Starają się przypodobać bez ryzyka operując pewnymi sprawdzonymi wartościami, co im przychodzi tym łatwiej, że nie muszą rezygnować z niczego, czego wyuczyli się w czasie studiów. Nie zgłaszają więc nowych propozycji, nie szukają nowych dróg, nie przechwytują nawet gotowych wzorów, które na gruncie łódzkim mogłyby wydać się prowokacją lub epatowaniem społeczeństwa — nie poddają się nakazom szybko zmieniającej się mody, co tak jaskrawo występuje w innych kręgach artystycznych.

Jest to do pewnego stopnia zgodne z prawidłowościami obserwowanymi w dziejach sztuki. Debiutanci, zanim nabiorą doświadczenia, które pozwoli im wyrazić nowe, przeczuwane raczej niż przeżywane treści, odzwierciedlić właściwy stosunek do świata, odpowiedzieć rzeczowo na potrzeby i tęsknoty społeczne, muszą się najpierw sami określić. Uderza co najwyżej, że próbują się określić poprzez nawiązywanie do najbliższej tradycji. Nie widać u nich na przykład skłonności do poszukiwań typu konstruktywnego, przeważa twórczość spontaniczna, odwołująca się bezpośrednio do wskazań abstrakcji „gorącej", co daje możność osobistego wypowiadania się bez głębszych zobowiązań. Tego rodzaju sztuce hołdują — wymieńmy dla przykładu — Aleksander Brzęczek, Jerzy Czajkowski, Ewa Gralak, Tadeusz Huszczo, Gabriela Nawrot, Aleksander Ostasz, Iwona Rudnicka. Z tej grupy odbiega nieco od innych Czesława Motylewicz zdradzająca silniejsze upodobania ekspresjonistyczne.

Druga grupa, pragnąc wyraźniej podkreślić elementy znaczeniowe, przechodzi od doświadczeń malarstwa z gatunku informel do świata przedmiotowego. Jerzy Klat wprowadza nieokreślone bliżej motywy biologiczne, większość z pozostałych — m.in. Adam Kuśnierz, Bogumił Łukaszewski, Stefan Madaj, Teresa Szumigaj, Jerzy Woźniak — posługuje się elementami ze skarbnicy nadrealizmu, wyrażając w ten sposób jakby niepokój istnienia, a nawet przeczucia katastroficzne. Zachodzi pytanie, czy ten niepokój jest wyrazem rzeczywistych odczuć pokolenia, czy uzewnętrznia prawdziwe przeżycia, czy stanowi tylko deklaratywne poświadczenie postawy „młodych gniewnych". A może po prostu — skoro punktem wyjścia była abstrakcja — przejście do sztuki przedstawiającej wymagało ustawienia się w jedynej konwencji możliwej do przyjęcia, bo uznanej za nowoczesną?

USTABILIZOWANI

Nie przeżywają podobnych rozterek artyści, którzy — choć młodzi wiekiem — debiutowali na tyle dawno, że już zdążyli sobie wyrobić pewną pozycję, potwierdzoną niejednokrotnie nagrodami i wyróżnieniami, jak również opinią krytyki. Bogusław Balicki, Edward Habdas, Jerzy Derkowski, Stanisław Łabęcki, Henryk Strumiłło, Andrzej Szonert, Tadeusz Śliwiński, Jerzy Treliński — żeby wymienić najbardziej reprezentatywnych dla grupy — zdołali się już określić i ujawnić własną osobowość. Obecnie, utrwalając przyswojone wartości, nie zamierzają zejść z obranej drogi, starają się raczej udoskonalić wypracowaną formę, a tym samym umocnić na zdobytych stanowiskach. Taka kontynuacja osiągnięć jest całkowicie zrozumiała i nie świadczy o zachowawczości.

Znamienne jest jednak, że z małymi tylko wyjątkami, zarówno ci, którzy włączyli się w nurt konstruktywny, jak i ci, którzy uprawiają sztukę spontaniczną, posługują się mniej lub więcej czytelnymi elementami symboliki. Wydaje się to upewniać w domniemaniu, że kult czystej formy przeżył się już definitywnie.

Artyści średniego i starszego pokolenia, których nazwiska weszły już do historii sztuki nowoczesnej, mogą sobie pozwolić na zmiany form wypowiedzi bez obawy o zachwianie ugruntowanego na dobre miejsca w społeczności. Toteż Stanisław Fijałkowski, Jadwiga Głowacka, Zdzisław Głowacki, Konstanty Mackiewicz, Roman Modzelewski, Ireneusz Pierzgalski, Teresa Tyszkiewicz, czy — w rzeźbie — Mieczysław Szadkowski — występują raz po raz z nowymi propozycjami. Nie wszyscy jednak odczuwają potrzebę eksperymentu. Niektórzy, jak Lena Kowalewicz, Leszek Kunka czy Tadeusz Sprusiak od kilku lat nie zmieniają kręgu zainteresowań. Inni — jak Jaeschke, Liberski, Bolesław Hochlinger lub Aleksander Kromer — w ogóle nie zamierzają odstępować od form i zagadnień, które odpowiadają im najlepiej.

W STANIE NIEWAŻKOŚCI

W tej konfrontacji trzech pokoleń zastanawia najbardziej bezkonfliktowość, brak starcia nowego ze starym, brak jakiejkolwiek prowokacji. W dodatku — być może na skutek przypadkowego doboru prac — wydaje się, jakby wystawę obciążał brak sztuki walczącej, wycofanie się z zaangażowania społecznego, które było dotąd charakterystyczną i często podkreślaną cechą środowiska i które nadal ujawnia się w grafice. Trudno zresztą mówić o zaangażowaniu, gdy oglądając całość ekspozycji malarstwa odczuwa się nawet coś w rodzaju zawieszenia broni między abstrakcjonistami i „przedstawiającymi", jakieś oznaki niewiary we własną twórczość. Czuje się, jakby artyści pragnęli jedynie „zaliczyć" sobie obowiązek, udokumentować fizyczną obecność. Nie dotyczy to jednostek, ale w sumie odbiera się jakąś rezerwę, niechęć do wyrażania głębszych treści.

Ktoś z publiczności słusznie zauważył, że wystawa zdradza nastrój oczekiwania, że sztuka znajduje się w stanie nieważkości. Ten stan trzeba przezwyciężyć, ale nie dokona tego nikt w pojedynkę. Nie zwalczy bowiem oporów zbiorowości. Nowe — więc nie sprawdzone jeszcze — walory może zaoferować tylko zespół. Nie czekajmy na Godota.

Doroczna wystawa okręgowa malarstwa i rzeźby — Ośrodek Propagandy Sztuki (Park im. Sienkiewicza w Łodzi).

Przeszłość i teraźniejszość

Historia a świadomość narodowa

Taki tytuł nosi niewielki tomik, opublikowany niedawno (1970) przez wydawnictwo „Wiedza Powszechna", jako kolejna 162 już pozycja „Biblioteki Wiedzy Współczesnej „Omega". Składa się nań kilkanaście wypowiedzi różnych autorów, którzy w 1968 roku wzięli udział w dyskusji zorganizowanej przez tygodnik „Argumenty". Zabrali więc głos zarówno uczeni rozmaitych specjalności — historycy, socjologowie, filozofowie, historyk literatury — jak publicyści i dziennikarze parający się tą problematyką: w rezultacie otrzymaliśmy nie wielki, lecz jakże bogaty w swej treści zbiorek. W dyskusji rozważano bowiem — jak podkreśla redaktor tomu Włodzimierz Wesołowski — „rozmaite strony tradycji narodowej — tak jak ona realnie w historii narastała — i podejmowano różnorodne wątki refleksji teoretycznej dotyczące naszych dziejów. Niemałą część dyskusji zajęły kwestie współczesne. Zastanawiano się nad rolą postaw patriotycznych w pobudzaniu twórczego wysiłku narodu na rozmaitych polach; nad kształtowaniem postaw zaangażowania społecznego. Dyskutowano wagę wychowania patriotycznego w całokształcie wychowania socjalistycznego".

Dyskusję otwiera obszerne zagajenie pióra znanego historyka Mariana H. Serejskiego. Uczony prześledził w nim rolę refleksji nad przeszłością w kształtowaniu się więzi międzyludzkich od czasów starożytnych po nam współczesne, zwracając szczególną uwagę na rolę historii w dziejach narodu polskiego. „Losy dziejowe Polski sprawiły — powiada prof. Serejski — że to właśnie w anormalnych warunkach braku niepodległości i rozbicia jedności polityczno-państwowej, w niemałej mierze dzięki wciąż żywej świadomości narodowej podtrzymywanej, rozbudzanej przez historię, kształtował się i rozwijał nowoczesny naród polski w ciągu całego XIX wieku, pomimo prześladowań i wysiłków zaborców, by zapomniał on o swej przeszłości. To historia w czasach niewoli ukazywała ciągłość jego dziejów, kultury, jego miejsce w świecie, pobudzała do przetrwania, do ciągłej troski o zachowanie indywidualności narodowej, do walki o odbudowę niepodległości". W warunkach zaborów, w tych trudnych okolicznościach narodowego bytu, naród zwracał się myślą ku przeszłości i stamtąd czerpał ożywczą siłę; wiara w trwałość wspólnoty, w jej nieprzemijające wartości, napawała nadzieją na przyszłość. Historia, w silniejszym stopniu niż u innych narodów wolnych i szczęśliwych, spełniała rolę dźwigni świadomości narodowej". I choć sytuacja dziejowa ulegała wciąż zmianom, ani po pierwszej, ani po drugiej wojnie światowej historia nie utraciła u nas swego społecznego znaczenia, „Jedną z cech postępującej rewolucji społecznej i kulturalnej — podkreśla prof. Serejski — jest wzmożone zainteresowanie przeszłością narodową wśród szerokich mas oraz pogłębiające się poczucie ich odpowiedzialności za losy ojczyzny i dokonujący się proces prawdziwej integracji narodu".

Aby historia mogła wypełniać swe najistotniejsze funkcje społeczne powinna być historią szerokich horyzontów, nie zaścianko-wą, partykularną. „Jeśli historia narodowa spełniała i spełnia swą funkcję jako czynnik świadomości narodowej — podkreśla historyk — to w dzisiejszej epoce ma ona analogiczne zadanie w zakresie ukazywania i kształtowania więzi łączących całą ludzkość, z całym bogactwem sposobów życia, różnorodnością kultur i narodowości, skazanych na współistnienie albo na zagładę. W epoce współczesnej historia narodowa, która wskazuje na trwały związek patriotyzmu i socjalizmu, nie może stać w kolizji z wielkimi ideałami humanizmu. Takie dwustronne zaangażowanie najlepiej uchroni historię przed nacjonalizmem i przed nihilizmem narodowym, w zgodzie ze świetnymi tradycjami całej kultury polskiej i ideałami jej najwybitniejszych twórców i ideologów". Historia istotnie narodowa winna być bowiem jednocześnie uniwersalistyczna, bowiem tylko w szerokiej perspektywie powszechnodziejowej może ona ukazać miejsce naszego narodu w kulturze powszechnej, pośród innych narodów świata i uwidocznić jego trwały, nieprzemijający wkład i wnoszone przezeń wartości. Taka też historia skutecznie chronić będzie nas przed dewiacjami czy to zbytniego zadufania i megalomanii, czy czapkowania przed innymi i nihilistycznego ultrakrytycyzmu w stosunku do tej przeszłości, która choć była taka jaka była, ale zawsze była nasza.

Wypowiedzi dyskutantów pogrupowano wedle trzech kompleksów zagadnień. Pierwszy z nich został oznaczony tytułem „Historia i świadomość narodowa" i zawiera wypowiedzi historyków, historyka literatury i socjologa. W drugim, zatytułowanym „Nauki humanistyczne i świadomość narodowa" znalazły się teksty socjologów, filozofów i historyków, w trzecim zaś — „Historia — patriotyzm — współczesność" przeważają wypowiedzi socjologów i publicystów. Nie mam zamiaru streszczać zawartości tego tomiku, nie mogę nawet wskazać na najważniejsze zawarte w nim myśli. Wymagałoby to nie jednego, lecz całego cyklu felietonów. Nie chcę też zwalniać czytelnika z lektury tego wydawnictwa a przeciwnie, chciałbym go do niej zachęcić, zwracając uwagę na wagę poruszonej w nim problematyki i jej aktualność. Tomik ten bowiem nasuwa wiele myśli nie tylko o naszej przeszłości, lecz przede wszystkim teraźniejszości, myśli których sens oddaje znakomicie tytuł ostatniej wypowiedzi w nim zawartej, pióra W. Wesołowskiego, mianowicie: „Ojczyzna — to zbiorowy obowiązek".

JÓZEF GRZELAK

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Henryk V" czyli przeciw Szekspirowi czy za Szekspirem?

Eugeniusz Kamiński — „Król Henryk V" i Jerzy Przybylski — Sir John Falstaff.

Spróbujmy zadać sobie pytanie: dlaczego „Henryk V" nie był dotąd grany na scenach polskich? Skąd ta wstrzemięźliwość?

Rozpatrywany w kategoriach tradycyjnych ma z pewnością sporo mielizn dramaturgicznych. Gdy w innych kronikach historycznych Szekspira władca wiedzie z reguły śmiertelny bój z wewnętrzną opozycją od początku do końca sztuki, Henryk V rozprawia się ze spiskowcami z miejsca; motyw spisku nie służy więc zaostrzeniu konfliktu. Gdy królowie angielscy, których imiona noszą poszczególne kroniki są u Szekspira obciążeni poważnymi przywarami, które ich ciągną ku przepaści, jeden Henryk V wad właściwie nie posiada; to raczej model idealnego władcy. Gdy dla innych kronik typowa jest atmosfera tragizmu i rozdarcia, w „Henryku V" króluje (nieco deklaratywna co prawda) jedność i harmonia.

A jeśli nie te rafy odstraszały nasze teatry, to z pewnością chłodziła ich zapały tkwiąca w „Henryku V" podstawowa sprzeczność między szeroką epickością dramatu a możliwościami jej pomieszczenia w czterech ścianach teatru. Głęboko świadom tej sprzeczności był sam Szekspir. Za bardzo był człowiekiem teatru, by nie zdawać sobie sprawy z tego, jak ciężkim brzemieniem tenże teatr w „Henryku V" obarczał.

Ale Szekspira nie przerażała ta perspektywa. Widział wielkiego sprzymierzeńca, który pozwala ukazać w ciasnych murach rozległe pole bitwy. Tym sprzymierzeńcem była dlań wyobraźnia widza, będąca w stanie wypełnić wszystkie luki: brak floty brytyjskiej przewożącej wojska Henryka do Francji, brak twierdz i zamków francuskich. Z całym spokojem odwołuje się pisarz do tej właśnie wyobraźni:

...A teraz słuchacze,
Musimy scenę na plac boju
przenieść.
Przebaczcie, jeśli pięć lub sześć
floretów,
Rdzą przejedzonych, w śmiesznym
pojedynku
Wielkie Azincourt imię sprofanuje.
Niech wielkie czyny w myśli wam
odkwitną,
Myśl niech małpiarstwo w prawdę
zmieni szczytną.
„Henryk V", akt IV, prolog)

(Czytelnik wybaczy mi w tym miejscu, że przywołuję powyższy cytat w archaicznym już dziś przekładzie Leona Ulricha, nie mam bowiem na podorędziu doskonałego współczesnego tłumaczenia Zofii Siwickiej, z którego korzysta spektakl w Teatrze Powszechnym).

Szekspir rozumiał zatem, że teatr to zbiór umownych znaków, sztucznie ukształtowanych na scenie ekwiwalentów pewnej rzeczywistości, występujących w postaci symbolu, skrótu (kilka zardzewiałych rapierów wydobytych z rekwizytorni teatralnej i skrzyżowanych ze sobą zastąpić ma bitwę na zasadzie reprezentacji). Nie rozumiał tego natomiast teatr naturalistyczny, usiłujący kopiować na scenie rzeczywistość w każdym szczególe, z dokładnością nieznośnego zrzędy i pedanta. I tu może tkwi główna przyczyna niesięgania teatrów polskich po tekst „Henryka V".

Na szczęście taki teatr coraz bardziej się przeżywa. Przeżywa się również szczególnie przestrzegany w przeszłości pietyzm inscenizatora w stosunku do słowa pisanego. „Wierność sceny wobec tekstu dramatu — pisze Stefania Skwarczyńska — była (...) powszechnie traktowana jako naturalny obowiązek teatru w stosunku do literatury. Zgodnie z ówczesnymi wymaganiami teatr bowiem nie tworzył, ale mniej lub więcej doskonale odtwarzał, przekazywał" *).

Dzisiaj ambitny twórca zdaje sobie sprawę, że bezbarwne powielanie klasycznego tekstu dramatycznego, bierne jego „udźwiękowianie" nie prowadzi do nikąd, trąci nudą i belferskim przymusem. Takie właśnie podawanie Szekspira powoduje, że — jak stwierdza twórca cyberne tyki Norbert Wiener — „chłopcy w szkole nie lubią Szekspira, bo ten wydaje się im po prostu zbiorem często cytowanych powiedzeń." **)

Inscenizacje sztuk Szekspira pozostające w zbytniej zgodności z Szekspirem w efekcie obracają się przeciw Szekspirowi. Dlatego wolimy (owa liczba mnoga to nie rozpowszechnione ostatnio wśród recenzentów, manieryczne pluralis maiestatis: myślę po prostu, że wypowiadam sąd dość rozpowszechniony) spektakle „niewierne" Szekspirowi, robione przeciw tekstowi, z pozycji naszych doświadczeń. Wówczas stęchłą atmosferę muzeum historycznego zastępuje mroźny lecz świeży podmuch współczesności. I tylko takie spektakle przysłużyć się mogą Szekspirowi.

Maciej Z. Bordowicz wystawia „Henryka V" w Teatrze Powszechnym przeciw tekstowi. Może nie zawsze dość konsekwentnie i śmiało, niemniej z podstawowym zamiarem rewidowania tekstu, odwojowania go dla współczesności. No, i z wiarą, że tekst te zabiegi przetrzyma, że się obroni.

Wspomniałem wyżej o nieco deklaratywnym charakterze patriotycznego zrywu odmalowanego przez Szekspira w „Henryku V", Anglików podejmujących wyprawę desantową przeciw Francji Walezjuszów jednoczy z ich władcą niczym nie zmącone poczucie słuszności sprawy. Ale uważniejsze wczytanie się w tekst wskazuje, że stosunek autora do tej „wojny sprawiedliwej" nie jest tak jednoznaczny. Kazuistyczny wywód praw dynastii Plantagenetów do korony francuskiej, włożony przez Szekspira w usta arcybiskupa Canterbury, jest w swej rozwlekłości co najmniej podejrzany. A przecież na nim opiera Henryk swą decyzję zaatakowania Francji.

Czy nie jest zatem jasny zamiar Bordowicza, gdy wywód powyższy rozbija na skrawki, atomizuje, wkłada w usta różnych gwałtownie poruszających się po scenie osób i przygłusza na dobitkę muzyką? Do widza dociera to jako miazga, niezrozumiały niemal volapuk. Kwestię „wojny sprawiedliwej" przekazaną mamy w aurze pełnego sceptycyzmu.

Symetryczny odnośnik dla omówionej wyżej sceny stanowi dla Bordowicza końcowe pojednanie się królów. Zgodnie z tekstem Karol VI Szalony oddaje Henrykowi V swoją córkę Katarzynę za żonę i czyni go swoim następcą na tronie Francji. W ten sposób zamknięty zostaje w sztuce krwawy rozdział waśni dwóch narodów, co rokuje nastanie pokojowego i przyjaznego współżycia.

Czy można jednak ten szekspirowski happy-end uznać za przekonywający? Czy po to spłynęły krwią pola pod Azincourt, by Henryk Plantagenet mógł wieść swój głupiutko-lubieżny flirt z Katarzyną Valois? Bordowicz utrzymując tę scenę, przywołuje do udziału w niej milczących sędziów — dusze żołnierzy poległych pod Azincourt. Klamra między dwiema scenami zostaje zamknięta, wielki cudzysłów położony. Wszystko co między tym się powie na temat jedności, racji, obowiązku, zabrzmi ironicznie, fałszywie. Wojny nie da się upiększyć deklamacją.

Ale Bordowiczowi to nie wystarcza. Dystans do napuszonej deklaratywności chce sygnalizować na bieżąco. W tym celu wbrew Szekspirowi ożywia zmarłego wesołka i samochwała sir Johna Falstaffa i każe mu na zasadzie ciała astralnego towarzyszyć wszystkiemu, co dzieje się na scenie, i komentować. Tekst dla niego wykrawa z partii chóru, lub odejmuje go innym postaciom. Czasem Falstaff powtarza kwestie innych osób, czasem je wyprzedza, czasem wreszcie zadowala się rolą interpretatora, tłumaczącego francuskie partie dialogowe na polski, jak Suzin w telewizji.

Funkcję tę z wielką kulturą i umiarem spełnia w przedstawieniu Jerzy Przybylski. Miejscami jednak zawodzi chyba nośność spreparowanego tekstu. W tych momentach odczuwa się jakby zbyteczność tej postaci. W żadnym przypadku z winy aktora.

Nie sposób omówić w tych ramach szczegółowo przedstawienia Bordowicza, pełnego pomysłowości i inwencji reżyserskiej. Jak zwykle w przypadkach nadmiaru zdarzają się rozwiązania lepsze i gorsze. Doskonałym i tkwiącym w duchu szekspirowskim konceptem jest sprowadzenie bitwy pod Azincourt do pełnej temperamentu, powtarzanej parokrotnie, akrobatycznej niemal etiudy szermierczej (układ Zbigniewa Nawrockiego) w wykonaniu trzech studentów PWSFTviT.

Albo wprowadzenie postaci kobiecej do statycznej u Szekspira sprzeczki pomiędzy Delfinem, Konetablem i Księciem Orleańskim. Bordowicz zamienia te przydługie docinki w scenę perwersyjną, niemal łóżkową. A słowa Delfina: „Już północ, idę się zbroić", gdy z woli reżysera wybiega ciągnięty za rękę przez Kurtyzanę, nabierają całkiem innego, ironicznego sensu.

W niektórych jednak scenach Bordowicz skłania się nadmiernie do tworzenia iluzji rzeczywistości. Gdy każe aktorom krążyć między sceną i kulisami, by imitować mnogość armii, sprzeniewierza się szekspirowskiemu teatrowi skrótu (przypominam: „pięć, sześć floretów rdzą przejedzonych...").

W bogactwie znaków scenicznych, wśród których podkreślić należy świetną scenografię Aleksandra Waligórskiego i hałaśliwą w założeniu oprawę muzyczną Bogdana Pawłowskiego, zrodził się spektakl żywy i pasjonujący. W tym zestawieniu nawet potknięcia i zapożyczenia nie rażą, wtapiając się w wielowarstwową, zmienną strukturę widowiska.

Obok wspomnianego już Przybylskiego wysoko oceniam efekt sceniczny pracy Eugeniusza Kamińskiego nad rolą tytułową. Jego Henryk wyzbył się patetyczności, jest diabelnie witalny i autentyczny. W wielkim monologu przed bitwą potrafi jednak postawić owe znaki zapytania, które zawsze wiszą nad głową władcy.

Szekspirowskiemu kwartetowi łazęgów i obiboków kapitalnie przewodzi Aleksander Fogiel jako Pistol. Z wielkiej ilości wykonawców wyróżniam przede wszystkim Włodzimierza Skoczylasa (Fluellen), Mirosława Szonerta (Karol VI), Janusza Kubickiego (Delfin) i Janinę Borońską (Kasia).

W sumie, przedstawienie, które skłania, żeby się z nim pospierać, bo nie jest błahe, ani letnio-poprawne.

*) S. Skwarczyńska „Leona Schillera trzy opracowania „Nieboskiej Komedii" w dziejach jej inscenizacji w Polsce", W-wa 1959, str. 10.
**) N. Wiener „Cybernetyka i społeczeństwo', przekł. O. Wojtasiewicza, W-wa 1960, str. 130—131.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

- **JAN KOPROWSKI — Wyprawa na Wschód**
- **ANDRZEJ MAKOWIECKI — Czerwona droga**
- **KAROL BADZIAK — Siwowłosi**
- **Recenzje, felietony, nowela kryminalna**

KONRAD FREJDLICH

W stronę kultury

Z nazwiskiem Antoniny Kłoskowskiej zetknął się każdy, kto choć trochę interesuje się zagadnieniami kultury, bowiem badania prowadzone przez tę uczoną śledzone są z uwagą nie tylko przez przedstawicieli nauki. Dobrze się więc stało, że w ślad za obszernym studium „Kultura masowa", wydanym w roku 1964, Państwowe Wydawnictwo Naukowe zdecydowało się na publikację rozproszonych po różnych czasopismach prac Antoniny Kłoskowskiej, które zebrane w jednym tomie złożyły się na książkę stanowiącą z jednej strony uzupełnienie i pogłębienie poprzedniej, z drugiej zaś prezentują nam poszukiwania autorki w dziedzinie historii kultury (z socjologiczną tendencją do uogólnień), a także jej przemyślenia w zakresie etnologii w związku z wpływami kultury na kształtowanie osobowości ludzkiej. Tak szeroka panorama zagadnień wiąże się mimo wszystko w wyrazistą całość określoną wspólnym przedmiotem analizy.

Najbardziej autonomiczny charakter mają trzy monograficzne szkice poświęcone ruchowi umysłowemu stolicy w połowie wieku ubiegłego, choć nawet one korespondują z pozostałymi partiami książki. Bo chociaż Kłoskowska poddaje analizie zjawiska już historyczne, interesują ją głównie związki pomiędzy sytuacją społeczną epoki a organizacją kultury i posiłkuje się w swoich generalizacjach uchwyceniem zjawisk dla tego okresu typowych i reprezentatywnych. Słusznie też jako podstawę swoich przemyśleń wybrała działalność „Biblioteki Warszawskiej", najbardziej wpływowego czasopisma Królestwa Polskiego po powstaniu listopadowym. Nie sposób tutaj choćby pobieżnie zreferować wnikliwą analizę zawartości czasopisma dokonaną przez autorkę pod kątem koncepcji socjologicznych i filozoficznych, jakie znalazły odbicie na łamach periodyku w pierwszym dziesięcioleciu jego istnienia. Godny zauważenia jest wszakże wysiłek badawczy Antoniny Kłoskowskiej także jako historyka. Bowiem po raz pierwszy w naszej historiografii otrzymujemy tak pełny i udokumentowany przegląd najwybitniejszych postaci ruchu umysłowego Królestwa okresu, kiedy zarysować się już zaczęły tendencje pozytywistyczne torujące drogę później szej, niemal powszechnej akceptacji tego stanowiska. Analiza dokonana przez Kłoskowską ma więc istotne znaczenie dla zrozumienia genezy tej formacji umysłowej, której podstawowe koncepcje wykrystalizowały się wiele lat później w publicystyce Aleksandra Świętochowskiego.

Z omawianym tu szkicem wiąże się następny, poświęcony twórczości Zofii Węgierskiej, stałej współpracowniczki „Biblioteki Warszawskiej", autorki cyklicznych, prowadzonych przez szesnaście lat korespondencji zagranicznych pn. „Kronika paryska". I tę pracę cechuje rzetelność ujęcia i trafność analizy dokonanej przez Antoninę Kłoskowską, kiedy śledząc ewolucję poglądów Węgierskiej konfrontuje ruch umysłowy w Polsce z prądami intelektualnymi na Zachodzie, zastanawiając się jednocześnie nad przeobrażeniami, jakie pod wpływem wydarzeń społecznych tego okresu przechodziła popowstaniowa emigracja polska.

Ostatni szkic historyczny poświęcila Kłoskowska badaniom nad recepcją dzieł Adama Mickiewicza w Polsce i analizie postaw inteligencji w związku z pierwszą edycją najpełniejszego zbioru utworów poety w połowie XIX w. (tzw. wydanie Merzbacha). I tutaj zainteresowania swoje koncentruje na styku problematyki historycznej i socjologicznej, z przewa-

WŁODZIMIERZ POŚPIECH

Mój profesor

Niemal zawsze ze wspomnień naszych o latach szkolnych wyłania się postać pedagoga, którego surowy stosunek do uczniów, nieustępliwość w egzekwowaniu poleceń, wiele razy dobrze dała nam się we znaki. Przemijają jednak lata i z czasem zaczynamy oceniać inaczej postępowanie tych „cieniczów" z okresu naszej młodości. Ich metody, które kiedyś wywoływały w nas odruchy wewnętrznego buntu i były udręką naszych szkolnych lat, uznajemy teraz za najsłuszniejsze. Budzi się wówczas uczucie wdzięczności za to co uczynili dla nas.

Takie refleksje przychodzą zawsze, gdy wspominam mojego profesora, wykładowcę z okresu studiów w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi — Kazimierza Jurdzińskiego. Niezwykle ciekawa postać tego człowieka, jego nieprzeciętna osobowość, wszechstronność zainteresowań i uzdolnień, wreszcie jego wybitne osiągnięcia artystyczne i pedagogiczne, za które w 1957 r. otrzymał Nagrodę m. Łodzi, stały się już przedmiotem aż czterech dysertacji magisterskich. Ta niecodzienność osoby Jurdzińskiego obliguje piszącego o nim do nakreślenia chociażby w paru słowach niezwykle interesującego a zarazem bardzo ciężkiego życia tego artysty.

Urodził się w Łodzi w rodzinie robotniczej w 1894 roku. Mimo nie najlepszych warunków materialnych, ojciec, wielki miłośnik muzyki, widząc wybitne uzdolnienia muzyczne syna, starał się dać mu jak najlepsze i najpełniejsze wykształcenie. Pan Telesfor Jurdziński, wykazał też, nie tylko sporo zrozumienia dla muzycznych zamiłowań syna, lecz także sam zadbał o to by nauka przebiegała jak najsprawniej, odwołując się jeśli zaszła potrzeba do bardzo udanych posunięć wychowawczych.

Wydarzenie, o którym za chwilę wspomnę zadecydowało o dalszych losach chłopca.

W 1910 roku jako uczeń gimnazjum, podczas lekcji języka rosyjskiego zagrał na pozytywce melodię „Boże coś Polskę". Ten młodzieńczy odruch patriotyczny został bardzo surowo potraktowany przez władze carskie. Rewizje w domu, aresztowanie ojca i oczywiście wydalenie Jurdzińskiego ze szkoły, to następstwa represji władz policyjnych. W tej sytuacji młody chłopiec opuszcza dom rodzinny i przenosi się do Płocka a następnie do Warszawy. O własnych siłach zdobywa środki na utrzymanie, kontynuując jednocześnie naukę muzyki. Fortepian studiuje u A. Michałowskiego, zaś grę na organach u M. Surzyńskiego, w którego klasie otrzymuje w r. 1914 dyplom wirtuozowski.

Wypadki I wojny światowej rzucają Jurdzińskiego w głąb Rosji. Przebywa przez dłuższy czas w Kazaniu, gdzie szybko powraca do czynnego życia muzycznego. Podejmuje pracę jako korepetytor i kierownik chóru, jako pianista-improwizator (posiadał wyjątkowy talent improwizatorski) występuje w charakterze akompaniatora w miejscowym kinie, na koniec zaś zostaje nauczycielem fortepianu w tamtejszej szkole muzycznej. Wykorzystuje tu także swoje zdolności plastyczne — jest przez pewien okres czasu scenografem kazańskiego teatru. Później, już w okresie rewolucji, jako pianista wypełnia części artystyczne licznych zebrań i wieców. Pewnego razu grał nawet podczas zebrania na którym przemawiał Lenin. Do tego stopnia musiał zwrócić swą grą uwagę Włodzimierza Ilijcza, że otrzymał za pośrednictwem Nadzieżdy Krupskiej propozycję udziału w kolejnych wiecach. Niestety, z uwagi na zaangażowane już w tym czasie starania Jurdzińskiego o powrót do Polski, sprawa stała się nieaktualna.

O nie spotykanym wprost zapale artysty do nauki, do dalszego doskonalenia swych muzycznych umiejętności może świadczyć fakt, że mimo ciężkich warunków i bardzo burzliwej sytuacji politycznej, raz w miesiącu dojeżdżał do oddalonej o 800 km Moskwy, by kontynuować studia w tamtejszym konserwatorium u M. Ippolitowa — Iwanowa kompozycję, a fortepian u prof. Goldenweisera.

Po powrocie do kraju w 1921 roku osiedla się w Warszawie. Nieugięta natura, nieprzeparta chęć zdobywania wiedzy, staje się ponownie celem przewodnim. Najpierw u Statkowskiego a następnie u Karola Szymanowskiego studiuje kompozycję otrzymując dyplom w 1932 r. O latach swoich studiów kompozytorskich, o pracy z Szymanowskim opowiadał nam profesor wielekroć na wykładach. Wspominał jak to Szymanowski kazał mu przez blisko dwa miesiące przerabiać ciągle jedno preludium, by wreszcie przyjąć pierwszą jego wersję. Komentując to zdarzenie powiedział kiedyś: „Zrozumiałem, że celem tych ćwiczeń było wyrobienie według jego wskazań techniki pisania i rozwijania myśli muzycznej".

Wzorując się na wielkim mistrzu, sam stosował podobne metody w stosunku do swoich studentów.

Do r. 1939 pracuje jako dyrygent chorów, organista i wykładowca Wyższej Szkoły Muzycznej im. Fr. Chopina. Lata okresu międzywojennego zaliczyć należy również do okresu najaktywniejszej działalności na polu kompozycji.

Od roku 1945 Jurdziński na powrót związuje się z Łodzią, podejmując tutaj, natychmiast po wyzwoleniu, pracę w szkolnictwie muzycznym. Równolegle prowadzi ożywioną działalność artystyczną i twórczą. W tym okresie powstaje wiele utworów chóralnych na głos z akompaniamentem, organowych, fortepianowych, kameralnych oraz kilka z udziałem orkiestry.

Pełni szereg odpowiedzialnych funkcji jako pracownik dydaktyczny i naukowy, dziekan Wydziału Teorii, Kompozycji i Dyrygentury, kierownik Katedry Teorii. Jest także przewodniczącym Łódzkiego Koła Zw. Komp. Polskich. Pod jego kierunkiem studiowało wielu, wybitnych dzisiaj muzyków, że wspomnę choćby: Arkadiusza Basztonia, Jerzego Bauera, Zbigniewa Chwedczuka, Henryka Debicha, Kazimierza Dębskiego, Edwarda Dulskiego, Feliksa Flisa, Zygmunta Gzellę, Tadeusza Paciorkiewicza, Bernarda Pietrzaka, Feliksa Rączkowskiego, Roberta Satanowskiego, Zbigniewa Wiszniewskiego, Macieja Zalewskiego, Mirosława Pietkiewicza.

Znakomite osiągnięcia pedagogiczne zawdzięczał z jednej strony wyjątkowym umiejętnościom dydaktycznym, bardzo starannemu przygotowywaniu się do zajęć i oczywiście bogactwu wiadomości, z drugiej zaś wprowadzeniu żelaznej dyscypliny dla studentów, co było jednoznaczne z obowiązkiem uczęszczania na każdy wykład i starannym przygotowaniem zadanych ćwiczeń. Na ogół bali się go wszyscy studenci, choć w pozalekcyjnych kontaktach był szalenie miły i serdeczny. Strofował jak ojciec, ale też jak ojciec pomagał, doradzał i otaczał życzliwością swoich wychowanków.

Wymagał od nas wszystkich, ale wymagającym był również w stosunku do siebie. Imponował nam nie tylko wiedzą i umiejętnościami ale również wzbudzał szacunek sumiennością, obowiązkowością i wysoką etyką. Takim pozostanie na zawsze w naszej pamięci i trudno pogodzić się z tym, że 17 kwietnia br. mija już 10 rocznica Jego śmierci.

Prof. K. Jurdziński przy pracy nad nową kompozycją — Sonata na obój, klarnet i fagot (r. 1956).

Półka z książkami

UNIŁOWSKI

W serii „Profile" ukazała się bardzo ciekawa książka Bolesława Farona, prezentująca sylwetkę Zbigniewa Uniłowskiego, autora „Wspólnego pokoju", „Człowieka w oknie" i niedokończonych „Dwudziestu lat życia"... Zbigniew Uniłowski jako pisarz i jako człowiek, owiany jest legendą, której zresztą po trosze sam był twórcą.

Jarosław Iwaszkiewicz pisze, że kariera życiowa i literacka Uniłowskiego „jest jedną z najdziwniejszych, o jakich udało mi się słyszeć (...) O Zbyszku z „Astorii" już słyszałem, był to chłopiec, który pracował przy restauracyjnym bufecie i którego raz Szymanowski, płacąc rachunek za kolejkę wódek, przyłapał na czytaniu Conrada".

I tak zaczęła się jedna z najbardziej nieprawdopodobnych karier literackich dwudziestolecia międzywojennego. Uniłowski wszedł w środowisko artystyczne, rozpoczął drukować swoje nowele w pismach, wstrząsnął „Warszawką" swoją powieścią z kluczem „Wspólny pokój". Jego talent pisarski był nieprzeciętnej miary — szybko więc zdobył rozgłos. Chłopak bez matury, były pikolak z modnej restauracji poślubia córkę bogatego przemysłowca Lilpopa, skądinąd kuzynkę Marii Iwaszkiewiczowej.

W jego burzliwym życiorysie nie brakuje też i awantur, pobytu w areszcie, prób samobójstwa. Chory na gruźlicę — do własnego zdrowia ma stosunek bardzo nonszalancki. Tylko sprawę swego pisarstwa, warsztatu artystycznego traktuje z niezwykłą powagą.

Pozostawił po sobie cztery książki (w tym jedną — najlepszą — nie dokończoną) oraz zbiór reportaży. Od książkowego debiutu do jego śmierci upłynęło zaledwie pięć lat. Zmarł nagle w wieku 28 lat w listopadowy dzień 1937 roku.

A jednak pozostał w literaturze i książka Farona jest nie tylko opowieścią o zawrotnej karierze, ale jest pracą — podstawową jak dotąd — historyczno-literacką, komentującą twórczość nieprzeciętnego pisarza, jakim był Zbigniew Uniłowski.

Bolesław Faron „Zbigniew Uniłowski", Wyd. Wiedza Powszechna, cena 16 zł.

SKORPION Z EGIPTU

Miłośników literatury egzotycznej ucieszy z pewnością wydany przez PIW tom dwudziestu ośmiu opowiadań pt. „Skorpion — opowiadania egipskie". Ucieszy, jeśli jeszcze przed rozpoczęciem lektury polski czytelnik przypomni sobie o ogromnych różnicach, jakie dzielą kulturę, a więc i literaturę europejską i arabską, a także nie będzie oceniał przedstawionej prozy tymi kryteriami, którymi zwykł się posługiwać przy ocenie współczesnej literatury europejskiej. Przestrzega przed tym autor wstępu — Józef Bielawski, przedstawiając jednocześnie krótki zarys historii literatury arabskiej. Zbiór opowiadań egipskich ma dla polskiego czytelnika przede wszystkim wartość poznawczą. Pokazują one Egipt feudalny sprzed rewolucji i powolne przeobrażenia społeczne i obyczajowe, zachodzące po roku 1952. Tematem niemal wszystkich opowiadań jest życie biednych ludzi, ich codzienna, żmudna praca, radości i smutki, miłość i nienawiść. Akcja w większości dzieje się na wsi, na folwarkach, gdzie ludzie żyją w jednej gromadzie i znają życie sąsiadów bardziej niż nawet własne. Szczególnie interesujące są opowiadania o tematyce obyczajowej, na przykład te, które pokazują los kobiety egipskiej, jeśli nawet już nie faktycznej niewolnicy mężczyzny, to przecież psychicznie podległej mu całkowicie. Przegląd opowiadań egipskich otwierają w „Skorpionie" utwory Taka Husejna i Mahmuda Tajmura, w tej chwili już klasyków literatury arabskiej. Mahmud Tajmur, który początkowo wzorował się na nowelach Guy de Maupassanta i Czechowa, wypracował z czasem własny styl pisarski i w dużej mierze przyczynił się do popularności tego gatunku nie tylko w Egipcie, ale i w innych krajach arabskich. Jego śladami poszli młodsi koledzy, między innymi Jusuf Idris, najbardziej utalentowany nowelista młodszej generacji pisarzy egipskich. W „Skorpionie" znajdują się jego dwa opowiadania — „Sprawa czci" i „Goście weselni" — oba niemal szokujące poprzez swój materiał obyczajowy. Mimo pewnej — z naszego punktu widzenia — naiwności niektórych opowiadań, czyta się je z przyjemnością. Trudno tylko powiedzieć, na ile jest to zasługa autorów egipskich, a na ile polskich tłumaczy.

B. M.

„Skorpion — opowiadania egipskie". PIW Warszawa 1970, str. 305, cena zł. 20.—

---

gą tej ostatniej, główny bowiem akcent kładzie na zagadnienie komercjalizacji kultury, co koresponduje przecież z zasadniczą tematyką badań Kłoskowskiej (kultura masowa).

Druga część książki — zacytujmy ze wstępu autorki — „rozpatruje teorie wiążące osobowość ludzką z warunkującymi ją wpływami globalnej kultury kształtującej etniczne odmiany typów ludzkich, następnie zaś, w związku z problematyką charakteru narodowego, analizuje rozwój potocznych wyobrażeń o własnej grupie narodowej i wybranych grupach obcych, które z odmiennych zgoła względów ujmowane są jako oddzielone szczególnym dystansem od grupy własnej". Znajdziemy tu obszerny referat koncepcji typu osobowości we współczesnej antropologii kulturalnej — szkic oparty na nie opublikowanej pracy doktorskiej Antoniny Kłoskowskiej oraz dwa inne szkice oparte na badaniach przeprowadzonych w szkołach opolskich i łódzkich, poświęcone zagadnieniom postaw etnicznych dzieci, które wydały mi się szczególnie interesujące ze względu na ich aktualność (w badaniach opolskich: stosunek do Ziem Zachodnich i problem niemiecki; w badaniach łódzkich: stosunek do obcych (Murzyni)). Żałuję więc, że w moim omówieniu książki Kłoskowskiej mogę badania te tylko zasygnalizować.

W ogóle nie jest to książka łatwa do zrecenzowania z uwagi na mnogość zainteresowań autorki. Odnosi się to szczególnie do trzeciej części tej publikacji, zatytułowanej „Socjologiczne koncepcje kultury". W szkicu pierwszym, w oparciu o empiryczne materiały zebrane w Bełchatowie, autorka analizuje problematykę akademickiego a potocznego pojęcia kultury. To pojęcie potoczne ma przecież istotny wpływ na ukształtowanie się modelu kulturalnego społeczności lokalnych, ich ambicji i aktywności w tym zakresie, jest to więc problem bardzo ważny, zupełnie „nie" akademicki.

Szkic pt. „Koncepcja kultury w ujęciu Karola Marksa" jest ambitną próbą analizy myśli marksowskiej w obrębie problematyki socjologii kultury. Kłoskowska proponuje interpretację tych zagadnień w oparciu o selektywne pojęcie kultury, co wiąże się z marksowską koncepcją świadomości. Bardzo zapładniający intelektualnie jest także szkic „Semiotyczne kryterium kultury", w którym Kłoskowska rozpatruje związki pomiędzy literaturą, muzyką i plastyką zastanawiając się nad rolą znaku jako istotnego kryterium oddzielenia czynności symbolicznych lub znaczących od innych zachowań ludzkich, składających się na pojęcie kultury globalnej.

Ostatnia część książki przynosi kilka rozpraw odnoszących się bezpośrednio do badań nad kulturą masową. Charakter tych szkiców pozwala zakwalifikować je jako istotne uzupełnienie problematyki podjętej przez Kłoskowską w jej książce „Kultura masowa". Ta część książki zasługuje na szczególną uwagę choćby dlatego, że, jak stwierdza autorka „industrializacja i urbanizacja tworzy typ społeczeństwa, które w jakimś sensie ogólnym jest społeczeństwem masowym i ten typ wymaga tego rodzaju kultury, którą tu określamy jako kulturę masową". Z przemyśleń autorki wynika szereg istotnych, praktycznych wskazówek dla działaczy kulturalnych, także więc z tych względów szkice te warte są starannego przeczytania. Jeden ze szkiców poświęca Kłoskowska problematyce kultury masowej w związku z konkretnym modelem społecznym, analizując instytucję rodziny w oparciu o koncepcje lansowane przez najpopularniejszy tygodnik polski z lat trzydziestych („Przewodnik Katolicki") i najpopularniejszy tygodnik powojenny („Przyjaciółka"). Do zagadnień tych nawiązuje bezpośrednio kolejna praca „Kultura masowa we Francji", gdzie podobnej analizie poddana została tzw. prasa serca (la presse du coeur). Dwa ostatnie szkice „Krzyżowanie się zakresów publiczności czytelniczej" oraz „Kształtowanie się kultury masowej w Polsce Ludowej" podsumowujące etapy badań nad tymi zagadnieniami, przynoszą szereg ustaleń, które, podobnie zresztą jak większość partii książki, zainteresują każdego, kto zastanawia się nad modelem kultury w naszym kraju.

Antonina Kłoskowska: „Z historii i socjologii kultury", Państwowe Wydawnictwo Naukowe 1969, str. 332, cena zł 60.

PIOTR GOSZCZYŃSKI

AUTO-KOT W WORKU

No i mamy znowu wiosnę — porę roku, w której prawie wszystkie męskie serca zaczynają bić żywszym rytmem na widok... przejeżdżającego samochodu. Po nocach zamiast rajskich hurys śnią się „Fiaty", a tylko co bardziej skromni i nie rozpasani w snach ograniczają się do „Wartburga" czy „Skody".

Cóż pozostaje tym, których gnębi zły sen o motoryzacji, których nie stać na kupno pięknego „Volwo" garbatego „Volkswagena", zgrabnego „Fiata", którzy nie dostali przydziału nie tylko na „Wartburga" czy „Skodę" lecz nawet na „Syrenę"? Tylko giełda samochodów używanych.

Samochód przyrównywano już po wielokroć do kobiety. Że jest nie zbadany, że ma kaprysy, że wreszcie na samochodzie jak na kobiecie człowiek poznaje się dopiero po upływie bardzo długiego czasu lub... wcale.

Każdy kto pragnie sprzedać samochód najpierw zaczyna od karoserii. Że jest przeżarta rdzą? Nie szkodzi! Dziury w progach można po prostu załatać papierem parafinowanym lub tzw. kalką techniczną, później pokryć warstwą lakieru.

Co bardziej pomysłowi, ubytki w progach karoserii wypełniają po prostu cementem. Tymże cementem lub gipsem „uszczelniają" przerdzewiałą chłodnicę sypiąc do niej szary lub biały proszek. Chłodnica będzie się grzała, silnik może trafić szlag, ale sprzedający o takie detale nie troszczy się. Że są rysy i wgniecenia w karoserii? Ba, a od czego jest tzw. szpachla, która każde wgniecenie wypełni, każdą rysę zlikwiduje. I znów na grubo kładzioną szpachlę rozpryska się trochę lakieru, potem to wszystko się wypoleruje i samochód wygląda jak nowy.

Łyse opony też nie problem. Nowa opona kosztuje średnio 1000 zł. Bieżnikowa nie starej zaledwie 250 zł. Cztery opony bieżnikowane to zaledwie cena jednej nowej. Teraz tylko boki opon wypastować dobrze czarną pastą od obuwia i cztery kapcie jak nowe zmylić mogą naiwną ofiarę motoryzacyjnych zachcianek.

Wóz na oko jest więc jak nowy, tyle tylko, że silnik warczy jak stara sieczkarnia. Ale i na to poniektórzy właściciele samochodów usiłujący je sprzedać znaleźli radę.

Kupując używany samochód nie kupujmy kota w worku. Zajrzeć trzeba tu i tam by spryt nieuczciwego sprzedawcy nie był równy naiwności kupującego. Klekoczące cylindry i tłoki można wygłuszyć za pomocą specjalnej pasty lub po prostu sypiąc garść trocin pod głowice. Przez pierwszych 100 km, gdy jeszcze włoży się paski gazet pod zawory, silnik pracować będzie cicho, ba, prawie bezszmerowo. Potem wytopią się panewki, urwie się wał korbowy, ale wtedy samochód stać już będzie w innym garażu.

Nie wierzcie licznikowi — on jak kobieta na pierwszej randce nigdy nie wyjawi prawdy. Cofnięto go o 30—40 tys. km i to za pomocą elektrycznej wiertarki.

Co sprytniejsi z kupujących bacznie oglądają pedał akceleratora, który od długotrwałego używania bardzo się niszczy, ale jeszcze sprytniejsi, ci z grona sprzedających, montują do starego wozu nowy pedał i znów ten detal wprowadzić może w błąd nabywcę.

Nie dajcie nabijać się w butelkę — zwróćcie uwagę na części chromoniklowane. Zardzewiałe zderzaki, ozdobne listwy do stanu idealnej gładzi doprowadzają specjalne pasty antykorozyjne, zaś wżery po rdzy znikają pod... bezbarwnym lakierem do paznokci.

Rozbitek w języku motoryzacyjnym to samochód, który uległ poważnej kraksie. Ktoś kto widzi zgnieciony jak harmonia pojazd ani przypuszcza, że pod młotkiem, który dzierżą złote ręce polskich blacharzy i mechaników samochodowych, ów wrak powróci do swej poprzedniej formy. I znowu wizualnie rzecz biorąc będzie to samochód jak nowy. Ubytki zostaną dospawane, załamania i wżery w blasze wyrówna cyna, resztę załatwi uniwersalna szpachla i nowy, piecowy lakier. Rozbite części wymieni się na nowe lub używane wyjęte z innego samochodowego trupa. Tu się poklepie, tam się przykręci. Samochód gotowy do sprzedania. To nic, że pokrzywiona rama została tylko jako tako wyprostowana i tak nikt nigdy ramy skrzywionej idealnie nie ustawi — grunt, że samochód będzie jechał, a jak to już nieważne.

Ci, którzy z wraka „wyklepali' nowy samochód nie troszczą się o to, że pojazd ten przy większych szybkościach będzie „ściągał" w lewo lub w prawo.

Jeszcze gorzej gdy w samochodzie, który uległ krakowi, podwozie jest typu samonośnego — bez ramy. Tu już żadne cuda nie pomogą. Taki samochód stuknięty raz a dobrze, straci po wsze czasy swój „zmysł równowagi". Na drodze zachowywać się będzie niczym pijak po kilku głębszych — rzucać nim będzie od rowu do rowu.

I tak moi drodzy na plac zwany giełdą samochodową zajeżdża lśniący lakierem i chromami piękny, prawie nowy samochód, którego licznik wskazuje 15—20-tysięczny przebieg, silnik pracuje jak zegarek, nic nie klekocze — idealny wehikuł. I tu dopiero do głosu dochodzi elokwencja sprzedającego, który sam się przyznaje, że rujnuje siebie i swoją rodzinę sprzedając ten wspaniały pojazd. Otwiera maskę, bagażnik, pokazuje świeżo wyropowany silnik, zapuszcza motor, wiezie reflektanta na przejażdżkę, unikając przezornie wyboistych ulic na których coś by się mogło urwać w wozie, wreszcie dobija targu, inkasuje pieniądze, wracając zaś spacerkiem do domu rozmyśla jakiego to dziś jelenia na giełdzie samochodowej ustrzelił. Stary „Wartburg" wart był — 40 tys. zł, a on wziął dwa razy tyle. I już myśli o tym, że kupując inny używany samochód zwrócić musi uwagę na: lakier, blachę, podwozie, silnik, chromonikiel, ogumienie by z kolei jego nikt „nie zrobił" w konia.

Bo z używanymi samochodami właśnie jak z przysłowiowym kotem w worku — nigdy się nie wie co się kupuje.

Spektakle tygodnia

	Spektakli	Widzów	Proc.
TEATR WIELKI			
„Cyrulik sewilski"	3	3780	100
„Faust"	1	1020	81
„Królewna Śnieżka"	1	1260	100
„Zemsta nietoperza"	1	1260	100
„Lohengrin"	1	1260	100
NOWY			
„Życie jest snem"	3	2100	100
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	2	1400	100
„Szkoła kobiet"	2	1200	75
„Za siedmioma górami"	1	700	100
MAŁA SALA			
„Rodeo"	2	400	100
POWSZECHNY			
„Henryk V"	1	600	90
„Boso, ale w ostrogach"	1	660	100
„Ojcowie rodzą się w szafach"	2	1200	90
JARACZA			
„Placówka"	3	1539	100
„Każdy kocha Opalę"	2	960	93
OPERETKA			
„Pierwiosnki"	6	4901	75

TELEOBIEKTYW

Teatr emocji

Jeden ze sprawozdawców sensacyjnych meczy półfinałowych Górnika i Legii, bodaj Jan Ciszewski, nazwał relacjonowane spotkanie widowiskiem teatralnym. Było to powiedziane w ferworze, pokryte natychmiast gąszczem słów dotyczących samego przebiegu spotkania, a przecież utkwiło mi w pamięci.

Już na chłodno, gdy opadły emocje meczowe, wróciłem myślą do określenia użytego przez sprawozdawcę. Czy był to tylko lapsus? Od lapsusów roi się w komentarzach sportowych wypowiadanych na gorąco i w podnieceniu. Gdzie Rzym, gdzie Krym? Gdzie mecz piłkarski, a gdzie teatr? A jednak...

Przede wszystkim zróbmy parę zastrzeżeń. Nie chodzi mi o mecz piłkarski w ogóle, ale o jego transmisję telewizyjną. Ją to bowiem chcę przyrównać do teatralnego widowiska. Po wtóre pod uwagę biorę tylko wybitnie interesujące, emocjonujące spotkania, takie jak np. Górnik — AS Roma na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Trzecie zastrzeżenie jest innego rodzaju. Aby dostąpić wrażeń teatralnych trzeba specyficznie oglądać mecz piłkarski. Nie można skupić się wyłącznie na końcowym wyniku. Marzyć jedynie o zwycięstwie za wszelką cenę dla własnych barw.

Jeśli ktoś opanowany swoistym szowinizmem pragnie, by „nasi" wygrali choćby fuksem (niech grają źle, brzydko, byle skutecznie!), to przypomina on czytelnika książki, dla którego happy-end ważniejszy jest od walorów literackich. Takiemu czytelnikowi wystarczy więc zajrzeć na ostatnie strony książki, przekonać się, że wszystko dobrze się kończy, i zaniechać dalszej lektury.

Z pewnością zmartwiła nas wszystkich przy telewizorze druga bramka dla rzymian, strzelona dosłownie na kilkanaście sekund przed końcem meczu. Pewny już niemal awans do finału europejskiego naszej drużyny oddalił się, pogrążając nas znowu w stan niepewności. (Ach, ten nieznośnie długi cykl produkcyjny pisma! Czytelnik, który zechce poświęcić uwagę memu felietonowi, będzie mądrzejszy niż ja w tej chwili, będzie znał wynik decydującego trzeciego spotkania!).

Powtarzam więc, że ostatnia bramka dla Włochów zmartwiła nas. Ale czy nie była jednocześnie jakże pięknym momentem, podbijającym temperaturę naszych przeżyć? Stanowiła jeszcze jeden punkt zwrotny tego pięknego meczu, kontrapunkt dla bramki strzelonej z rzutu karnego przez Lubańskiego dokładnie w 90 minucie spotkania i skutkującej rozegranie dogrywki.

Wydaje się, że życie okazało się w wypadku meczu Górnik — AS Roma znakomitym dramaturgiem. Kolejne przejścia od surm zwycięstwa do nastrojów zwątpienia i niemal rezygnacji, lub w przeciwną stronę, rozłożone były w tym meczu tak znakomicie, że właśnie porównanie z teatrem i to ze świetnym teatrem, samo się nasuwa.

Było to więc wspaniałe widowisko, utrzymujące dramatyczne napięcie, zmierzające przez 120 minut do ostatecznych, niewiadomych rozstrzygnięć. Właśnie! Do niewiadomych rozstrzygnięć. W tym tkwiła także wielka siła tego widowiska. Dopóki trwało, wszystko w nim mogło się jeszcze zdarzyć. Nie było żadnego scenariusza, który przewidywałby lub determinował bieg wypadków.

Są u nas zwolennicy tezy, że film i telewizja to właściwie jedno. Dla eksperymentu obejrzyjmy film nakręcony w czasie meczu (z pewnością pokaże go Kronika Filmowa). Przebieg wydarzeń będzie ten sam, ci sami aktorzy na murawie stadionu, a przecież nie powtórzą się nasze emocje z transmisji telewizyjnej. Jeżeli nawet operatorzy pokażą nam żywiołową radość na trybunach po strzale Lubańskiego, nie będziemy się już w te wybuchy entuzjazmu włączać. Dla nas rzecz będzie zamknięta, wynik ostateczny znany.

Mogą więc doskonalić się metody technicznego zapisu obrazu w telewizji, ale żywa, bezpośrednia transmisja emocjonujących wydarzeń zawsze nas pobudzi do żywej reakcji. Stawianie znaku równości między telewizją i filmem wydaje mi się nonsensem.

W. O.

Władysław Orkan

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Dzieje polskiego filmu są nader wymownym dowodem na to, iż nasze kino nie ma szczęścia do komedii. Takie wyjątki jak filmy: „Ewa chce spać", czy „Sami swoi" potwierdzają tylko regułę.

Tadeusz Chmielewski, autor znakomitej „Ewy, która chce spać" jest twórcą niezwykle upartym, mierzącym się z gatunkiem komediowym wytrwale. Zrealizował po „Ewie" jeszcze trzy niezbyt już udane komedie, by w ostatnim czasie postawić polskich widzów przed zamierzeniem gigantycznym, gdyż inaczej nie sposób określić próby komedii, która ma śmieszyć widzów w ciągu 4 godzin projekcji. A tyle właśnie trwa jego ostatni trzyseryjny film pt. „JAK ROZPĘTAŁEM DRUGĄ WOJNĘ ŚWIATOWĄ", co samo w sobie jest ewenementem nie tylko w historii kina polskiego.

Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że wizytówką tego zamierzenia jest tytuł filmu, który w całości dzieła jest najśmieszniejszy. Tak oczywiście źle nie jest, gdyż w tym bardzo nierównym i niekonsekwentnym filmie są rzeczy naprawdę dobre i śmieszne, zapewniające mu chyba znaczne powodzenie wśród polskiej publiczności.

Atutem podstawowym, zyskującym przychylność widza, jest naturalnie postać głównego bohatera — kanoniera Dolasa, który przeżywa głęboką rozterkę, wynikającą z przeświadczenia, iż to on swym strzałem do niemieckiego generała rozpętał II wojnę światową. Któż z nas bowiem oprze się przychylności dla żołnierza, którego dole i niedole obserwować będziemy w jego wędrówce przez kawał świata, zmierzającej ku jednemu celowi — możliwości walki o wolność ojczyzny; tym bardziej, że jak na komedię przystało — perypetiom żołnierza - warszawskiego cwaniaka, towarzyszyć będzie jego fantazja, spryt i umiejętność posłużenia się fortelem, którego patronem w polskiej tradycji jest oczywiście imć Onufry Zagłoba.

Ale właśnie z tą prowadzącą postacią filmu Chmielewskiego kłopot jest największy. W swej kobylastej komedii reżyser gubi na jakiś czas Frankową sprawę (zwłaszcza w syryjskiej części filmu), co gorsza jednak gubi również swego bohatera, a ściślej mówiąc nie może się zdecydować na to kim Franek właściwie jest i jakie cechy są mu głównie przypisane.

Warunkiem podstawowym dobrej komedii jest właśnie konsekwencja rysunku postaci wiodącej, która jest siłą napędową rozwijających się zdarzeń. Brak tej konsekwencji jest grzechem głównym komedii Chmielewskiego. Franek Dolas zmienia się na naszych oczach niby kameleon. Safanduła i oferma, pozbawiony krzty inteligencji, sprytu i fantazji za chwilę zaskakuje nas bogactwem tych właśnie cech, wymyśla fortele godne imienia ich polskiego patrona. Co więcej, sceny, w których Franek jawi się nam jako tchórz, sąsiadują beztrosko z sytuacjami, obrazującymi jego dzielność i odwagę i wcale nie wynika to z umiejętności zachowania tak zwanego zdrowego rozsądku, który jest głównym wyróżnikiem postaci warszawskiego cwaniaka.

Najbardziej prawdziwego Franka odnajdujemy w pierwszych i ostatnich sekwencjach filmu, które są zresztą najbliższe jakiemuś ogólnemu prawdopodobieństwu. Z braku prawdopodobieństwa nie czynilibyśmy zarzutu wówczas, gdyby film legitymował się jednością stylu. Przy jego braku, film stał się zlepkiem najprzeróżniejszych pomysłów i sytuacji, a tymi ostatnimi nie rządzi nawet prosta logika wydarzeń, co znów szczególnie wyraźne jest w „egzotycznej" części filmu. Odnajdujemy w niej wprawdzie szereg niezłych gagów, ale łapiemy się co chwila na tym, że śmiejemy się z rzeczy, z których śmieliśmy się już setki razy, że stereotypy postaci Francuzów, Anglików, Włochów i ich zachowań znamy na pamięć i dowcipy filmu nic nowego nie demonstrują, a moment niespodzianki jest w komedii przecież tak cenną rzeczą.

Przy wszystkich zgłoszonych wyżej zastrzeżeniach uczciwie przyznać trzeba, że czuje się w tym filmie rękę reżysera, który jednak komedię czuje, stąd huragany śmiechu, które rozlegają się w salach czterech (sic!) łódzkich kin.

Na niewątpliwe uznanie zasługuje stworzenie przez Chmielewskiego iluzji autentyzmu egzotycznych krain mimo, że wiele „wschodnich" partii filmu zrealizowano nie tylko w Gruzji i Azerbejdżanie, ale także koło Łodzi, gdzie zbudowano arabskie miasteczko i fort francuski.

Spośród ogromnej plejady aktorów, w filmie tym występujących, nie sposób nie wyróżnić Jana Świderskiego w roli francuskiego kapitana — pijaczyny i znakomitego Anglika — Kazimierza Rudzkiego, choć ich udział w tym filmie jeszcze silniej podkreśla całą „przebierankę".

Marian Kociniak w roli Franka Dolasa nie ponosi żadnej winy za niekonsekwencje postaci bohatera, którego kreował, ich źródła tkwiły w scenariuszu. Nie znany nam dotąd w roli komediowej Kociniak zaprezentował swe umiejętności od najlepszej strony.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MALARZ Z BANGALURU

Żywym i silnym ogniskiem malarskim, gdzie artyści kontynuują stare tradycje sztuki Indii jest miasto Bangalur, stolica stanu Maisur w Indii. Tu tworzy jeden z najwybitniejszych i najbardziej znanych malarzy współczesnych Indii, M. W. T. Aczaria — malarz, grafik i pedagog, kształcący młode kadry artystyczne. Aczaria jest zwolennikiem sztuki opartej na bogatych tradycjach narodowych Indii. Urodził się w mieście Mysore (w stanie Madras). Miasto to do 1947 roku, kiedy to India zdobyła niepodległość, było centrum sztuki całego stanu. W roku 1940 Aczaria kończy w Mysore artystyczną uczelnię. W ciągu zaledwie pięciu lat zyskuje uznanie w mieście Madras. Tam też organizuje swą pierwszą wystawę i tam zostaje dyrektorem oddziału malarstwa indyjskiego Instytutu Sztuk Pięknych. Teraz Aczaria interesuje się grafiką i także na tym polu zdobywa sukces. M. in. projektuje okładki dla jednego z czasopism. W roku 1949 na dorocznej wystawie Akademii Sztuk Pięknych w Kalkucie zdobywa nagrody za sześć obrazów. W gronie najwybitniejszych artystów Indii Aczaria bierze udział w projektowaniu dekoracji budynku parlamentu indyjskiego w Delhi, a jego praca o historycznej tematyce „Na dworze króla Samudragupty" zostaje przyjęta i odznaczona złotym medalem.

Pejzaże malowane przez Aczarię zdobią także budynki rządowe w Mysore. Wystawiał swe obrazy w wielu miastach Indii, zdobywając złote i srebrne medale. Począwszy od roku 1963 Aczaria mieszka i pracuje w Bangalur zajmując się przede wszystkim grafiką i ilustrowaniem książek. Cztery lata temu założył szkołę sztuk pięknych, której zadaniem oprócz kształcenia przyszłych artystów jest popularyzowanie dzieł sztuki.

Do ulubionych tematów twórczych Aczarii należy m. in. ilustrowanie wielkich eposów Indii, Mahabharaty i Ramajany.

M. W. T. Aczaria — „Syn nieznanego ojca"

M. W. T. Aczaria — „Para wieśniaków"

CHARLIE CHAPLIN I JEGO DWIE CÓRKI

Charlie Chaplin udał się z Genewy do Irlandii, aby wyszukać miejsce dla kręcenia swego najnowszego filmu pt. „The freak" (Kaprys). Pracował on dwa lata nad scenariuszem. Dwie główne role w tym filmie zagrają jego córki Józefina i Wiktoria, które jak twierdzi, są bardzo dobrymi aktorkami. „The freak" to historia dziecka, któremu rosną skrzydła. Nie staje się ono jednak aniołem lecz przedziwną istotą.

„OGRÓD RODZINY FINZI-CONTINICH" NA FILMIE

Znana u nas powieść w tłumaczeniu B. Sieroszewskiej pt. „Ogród rodziny Finzi-Continich", której autorem jest włoski pisarz Giorgio Bassani zostanie sfilmowana. Reżyserem jest Vittorio de Sica. Scenariusz opracował Mario Vittorio Bonicelli przy współpracy autora powieści.

BERANGER

Sto dziewięćdziesiąt lat temu urodził się słynny francuski poeta-pieśniarz Pierre-Jean Beranger. Jego ojcem był urzędnik bankowy, następnie bankier, który podpisywał się po szlachecku Béranger de Mersix. Matką Pierre-Jeana była córka krawca. Ponieważ rodzice małego jeszcze wówczas Bérangera rozeszli się, oddali go na wychowanie do ciotki oberżystki w Péronne. Pierre-Jean Béranger uczy się początkowo w szkole, potem pełni najrozmaitsze zawody — kelnera w oberży u ciotki, praktykuje u złotnika, wreszcie jest pomocnikiem drukarza. Dużo czyta, a mając lat piętnaście pisuje swoje pierwsze teksty wesołych piosenek. Próbuje swych sił w tworzeniu epickiego poematu, ale nie dokończy go nigdy. Już wtedy zdaje się rozumie, że najlepiej udają mu się teksty do piosenek. Pisze proste rymy, ale jego utwory są zabawne i wdzięczne. W roku 1796 jest już z powrotem w Paryżu, gdzie pomaga swemu ojcu w pracach bankowych. W trzy lata później zrywa z ojcem i usamodzielnia się, zostając urzędnikiem w notariacie. Nadal pisze piosenki. W roku 1813 grono literatów w Caveau Moderne zaprasza go na swoje zebrania, gdzie młody Béranger recytuje swe dowcipne, nieraz swawolne teksty. W tym to czasie powstaje znana i zabawna piosenka o dobrotliwym królu, który nie ściąga podatków ze swych poddanych, jest zawsze pogodny i nie wdaje się w żadne wojny. Piosenka nosi tytuł „Król Gwoździk" i staje się bardzo popularna. W roku 1815 ukazuje się w druku pierwszy zbiór tekstów Bérangera. Najwspanialszy rozkwit poetyckiego talentu przypada na lata 1814—1830 to jest na czasy Restauracji. Béranger kpi z Burbonów, wyszydza rządy monarchiczne, wspomina czasy Rewolucji, które pamięta z lat dziecinnych, bowiem mając lat dziewięć przypatrywał się zburzeniu Bastylii, głosi hasła republikańskie i patriotyczne, naigrawa się z dygnitarzy, ośmiesza arystokratów, występuje przeciw klerowi. Jego piosenki podchwytywane przez lud śpiewane są na ulicach Paryża. W roku 1821 wydaje nowy zbiorek piosenek, ale zostaje skazany na trzy miesiące więzienia, w kilka lat później po trzecim swym z kolei zbiorze tekstów, idzie do więzienia na dziewięć miesięcy i musi zapłacić grzywnę 500 franków. Z uczuciem radości wita w roku 1830 upadek Burbonów, popiera Ludwika Filipa choć nie przyjmuje przyznanej mu przez tego króla renty. Złudzenia nie trwają długo. Béranger już wkrótce pisze pamflety na Monarchię Lipcową, coraz rzadziej w jego tekstach pojawia się tak częsta przedtem wesołość. Wiadomość o powstaniu w Polsce wywiera na nim głębokie wrażenie. Pisze wtedy pieśń „Poniatowski". Problemy polityczne w jego wierszach ustępują teraz miejsca kwestiom społecznym. Użala się nad dolą biednych ludzi, walczy z burżuazją, przepowiada zwycięstwo ludu.

Drugie Cesarstwo jest mniej tolerancyjne dla poety-pieśniarza niż Monarchia Lipcowa. Béranger pisze, ale wydawcy nie chcą drukować jego tekstów. A kiedy Pierre-Jean Béranger umiera w roku 1857, policja bojąc się rozruchów nie zezwala na oficjalny pogrzeb. Poeta zostaje pochowany cicho przy policyjnej straży i przy udziale zaledwie kilku osób, którym wyjątkowo pozwolono wejść na cmentarz. Piosenki jego jednak żyją długo, a sława pieśniarza-poety rozeszła się daleko poza granice Francji.

Pierre-Jean Beranger

Polonia i polonica

Niedawno dostałam list od kuzynki, która mieszka w Stanach Zjednoczonych. Wojenna emigracja, więc związki uczuciowe z krajem jeszcze silne i duże zainteresowanie jego sprawami. Zawsze chodzi na polskie imprezy, rozmawia z wykonawcami. Tym razem napisała mi, że oglądała występ polskiego zespołu: Santor, Ofierski, Cembrzyńska, chór Beltono i inni. Po występie, podczas kolacji rozmawiała z polskimi artystami. „Starałam się wytłumaczyć im, że repertuar z jakim przyjeżdżają do nas jest nie zawsze odpowiedni. Na przykład Cembrzyńska w w piosenkach beatowych jest beznadziejna, albo po prostu my jesteśmy przyzwyczajeni do innych rzeczy" napisała do mnie.

Uśmiechnęłam się tylko, bo przypomniało mi się jak Iga Cembrzyńska opowiadała w wywiadzie telewizyjnym o wzruszającym przyjęciu i sukcesie, którym była zaskoczona: okazało się, że znają nawet jej „Żelazną Bramę" choć nie była nagrana. Ale byłabym o tym wszystkim zapomniała, bo w końcu kuzynka nie wyrocznia, może nie mieć racji. Byłabym zapomniała, gdyby nie ostatni telewizyjny „Pegaz", w którym pokazano reportaż z pobytu Teatru Klasycznego w Stanach Zjednoczonych z przedstawieniem „Dziś do ciebie przyjść nie mogę". Pokazano w tym reportażu reakcję polonijnej publiczności, a potem wypowiedzi na temat przedstawienia i nie tylko przedstawienia.

Publiczność była zachwycona, wzruszona, wiele osób płakało. A potem mówili. Że to właśnie to czego oczekiwali, że to był kawałek Polski i że mają już dosyć zespołów rozrywkowych. „Miałam już nigdy nie pójść na polskie występy, bo to co do nas przywozicie nic nie jest warte. Ale sąsiadka poszła i była zachwycona więc poszłam i ja. Płakałam" — opowiadała jakaś starsza niewiasta. Nie był to głos odosobniony. „Ależ przecież wy chcecie zespołów rozrywkowych, przecież wam się podobają, oglądacie" powiedział ktoś z kraju, kto wiedział o tym zapewne z relacji powracających. „Oglądamy, bo nas interesuje wszystko co polskie" padła odpowiedź, w której było słychać żal i wymówkę.

I taka jest prawda. Nie chciałabym być źle zrozumiana. Nie chcę powiedzieć, że Jerzy Ofierski jest złym satyrykiem, że Irena Santor złą piosenkarką, a Iga Cembrzyńska złą aktorką. Przeciwnie, była to jedna z najlepszych grup estradowych wysyłanych za granicę. Wszystkich ich oglądam, słucham, lubię i cenię. Ale oni tu w kraju, stanowią jeden z wielu czynników składających się na całość polskiego życia kulturalnego. Obok teatrów dramatycznych, muzycznych, obok kabaretu, kina, teatru i estrady telewizyjnej i tak dalej i dalej, są jedną z wielu propozycji, którą mogę wybrać lub nie, znając jej miejsce i wagę, w całości życia artystycznego.

Inaczej jest z eksportem polskiej kultury. Wszystko to co wysyłamy do Polonii rozsianej po całym świecie, staje się dla naszej kultury reprezentatywne, staje się jej wizytówką, jakąś „pars pro toto", na podstawie której nasza kultura jest oceniana, osądzana. I o tym nie wolno zapominać. A tymczasem wmawia się nam, że najchętniej są za granicą widziane małe zespoły typu rozrywkowego, że tego Polonia oczekuje. Reportaż ze Stanów był odpowiedzią bardzo znamienną i autorytatywną. Oczywiście, wysyłanie małych zespołów, składających się z kilku osób jest tańsze i rentowniejsze niż wysyłanie całych przedstawień teatralnych czy orkiestr symfonicznych. Ale w końcu propaganda kultury polskiej (a ta najbardziej chyba przemawia ludziom do serc) za granicą nie może być sterowana wyłącznie względami dewizowymi. Jestem przekonana, że wyjazd Teatru Klasycznego czy Filharmonii Narodowej opłacą nam się stokrotnie, niezależnie od efektów finansowych. Reportaż pokazany w „Pegazie" jest sygnałem ostrzegawczym. Obyśmy w pogoni za rentownością eksportu kultury nie utracili kredytu zaufania. Bo wtedy skończy się nawet rentowność.

T. WOJCIECHOWSKA

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Łódzka Oficyna — marzenia i rzeczywistość

WCIĄŻ MARGINES — MASZYNY ZE ZŁOMU — ŻYWIOŁ W RAMACH PRZEPISÓW — TRUDNE ŻYCIE NIETYPOWYCH — TRWA EKWILIBRYSTYKA — CO BY BYŁO GDYBY... — PIĘKNO DRUKARSKIEJ SZTUKI.

Oficyna drukarska to wydawniczy zakład drukarski — tak właśnie zwany w wieku piętnastym, szesnastym, siedemnastym... W Łodzi mamy wielkie zakłady poligraficzne, fabryki książek i gazet — oficynę mamy tylko jedną, ale... Wtłoczono ją w rygorystyczne ramy przepisów, planów, wskaźników — tak, że zostało właściwie marzenie o takiej oficynie, tworzącej piękne druki, swoiste cacka poligraficznej sztuki. Łódzka Graficzna Pracownia Doświadczalna ZPAP takie druki jednak tworzy, ale...

Stanowczo za dużo tych „ale". Powiedzmy więc wprost. Jest to drukarnia, która powinna się zająć przede wszystkim działem technik szlachetnych, obsługiwaniem w katalogi wystaw plastycznych, reprodukcją dzieł malarzy... Robi to zresztą GPD bez pudła — robi piękne katalogi, znakomite faksymilowe reprodukcje, lecz na skutek układów, w jakich tkwi, wciąż jest to zbyt wąski margines.

Bowiem głównie drukuje etykiety, prospekty handlowe, reklamowe (zresztą bardzo piękne), opakowania, foldery. Dyrektor Julian Książek rozkłada ręce i mówi: „przychodzą koledzy-plastycy i mają pretensje, że drukuję opakowania na mydełka i etykiety, zamiast zająć się sprawami wystaw i reprodukcji..." No, cóż krytykować zawsze łatwo, ale przecież w łódzkiej oficynie obowiązuje plan i samowystarczalność. Prospektami i folderami zarabia się na druk katalogów, na reprodukcje, na techniki szlachetne. Nie można zająć się wyłącznie pięknymi, potrzebnymi, lecz deficytowymi drukami, bowiem każdy rok ma swój kres budżetowy i trzeba wykazać się owym milionem złotych zysku. Nie może się rok zakończyć deficytem, bo wówczas oficyna łódzka stanie przed koniecznością likwidacji.

Graficzne Pracownie Doświadczalne powstały przed 11 laty właściwie z niczego, z maszyn przeznaczonych na złom. „Pierwsze zlecenie — mówi dyrektor Książek — to był druk etykietek dla przemysłu lekkiego. Za te pieniądze kupiliśmy archaiczną drukarenkę pedałową. Za wstępne zlecenia stary „intertyp" z roku 1912 przeznaczony na złom w jednej z wrocławskich drukarni."

I tak to powoli rosło — dziś te „złomowe", ale sprawne i wyremontowane urządzenia stanowią wartość 10 milionów złotych. GPD powstała spontanicznie, żywiołowo z inicjatywy łódzkich plastyków — jakże więc tą żywiołowość wtłoczyć w ścisłe ramy przepisów i normatywów? Zarządzono więc dla Pracowni Doświadczalnej status normalnego przedsiębiorstwa.

GPD jest jedyną tego rodzaju placówką w Polsce — to też nie ułatwia działania. „Nietypowi nie mają łatwego życia" — mówi dyrektor Książek.

Więc trwa bezustanna ekwilibrystyka między tym czego dusza by chciała (katalogi, barwne reprodukcje), a tym, co dyktuje ów ponadmilionowy plan roczny zysku (etykiety, prospekty). Oczywiście teoretycznie jest rozwiązanie — zmienić GPD status przedsiębiorstwa, dać dotację i wyłączność na produkcję sztuki drukarskiej. Z tą załogą można by robić cuda, bo jeśli w obecnych warunkach poziom druków GPD jest wysokiej próby, to co by było, gdyby...

Ale co tam! „Co by było gdyby"... Dotacja — znaczy pieniądze, a zmiana statusu znaczy precedens. Nie ma chętnych na dawanie ani jednego ani drugiego.

Więc bezustanna ekwilibrystyka. W niebywałej ciasnocie, w rozsypującym się ze starości budyneczku, którego nawet remontować nie można, bo jeden właściciel na Południu, a drugi na Zachodzie. Zecernia mieści się w klitce, w której dla czterech ludzi już nie starcza miejsca, magazyny na Józefowie, pracownia fotograficzna w drugim końcu miasta.

A jednak robią rzeczy piękne. Drukują metodą światłodruku reprodukcje malarstwa polskiego i obcego, które na Międzynarodowych Targach Książki wzbudziły zdumienie zagranicznych specjalistów. Drukują piękne, oryginalne katalogi dla Muzeum Sztuki, dla Galerii ZPAP. Drukują piękne plakaty.

Są nietypowi i mają mnóstwo kłopotów, ale mają pasję i umiłowanie owej sztuki drukarskiej, która powoli zanika w stukocie szybkich rotacji, w ogromnych kombinatach poligraficznych. Myślę, że są bezwzględnie konieczne takie właśnie oficyny drukarskie, gdzie ceni się smak dobrego rzemiosła artystycznego, gdzie rodzą się drukarskie cacka i bibelociki. Bo właśnie one — te oficyny w dobrym, starym stylu mogą ocalić piękno drukarskiej sztuki.

Ale rzeczywistość jest inna niż marzenia. Tak już niestety bywa — więc nawet nie rozdzieram szat z tego powodu. Tylko po prostu żal, że w rozsypującej się oficynie przy Piotrkowskiej, w ciasnych pomieszczeniach i jeszcze bardziej ciasnych ramach przepisów kłębią się potencjalne możliwości dobrych tradycji sztuki drukarskiej.

JERZY WIDOK

COLE PRICE

ZEMSTA

Zatrzymał auto przed domem i wszedł do sklepu.

— Dzień dobry Nan, jak idą interesy?

— Niezbyt pomyślnie, sezon jeszcze się nie zaczął.

Nan prowadziła od kilku miesięcy sklep z konfekcją i akcesoriami plażowymi. Dud Graham przybył do Isla Blanca wkrótce po Nan. Znali się od trzech miesięcy, głównie ze spotkań na plaży. Dud, przystojny młody mężczyzna, udzielał lekcji pływania na zatoce i wynajmował uczniom swoją szalupę. Organizował zawody rybackie.

— Nie martw się, Nan, wszystko ułoży się dobrze.

Mówiąc to pochylił się nad ladą i zbliżył twarz do Nan. Kobieta cofnęła się. Dziwne — myślała — pociąga mnie, lecz gdy się zbliża, uciekam od niego. Czai się w nim jakiś niepokój... Obserwuje mnie ciągle, jakby czegoś oczekiwał. Może to tylko moje urojenie? Może jeszcze nie doszłam do siebie po tym tragicznym wypadku w San Francisco?

Depesza, która w tamtej sprawie nadeszła, pozwalała przypuszczać, że mąż Nan popełnił samobójstwo. To samo mówiły listy kolegów oraz artykuły w prasie.

Kiedy po kilku miesiącach Nan uspokoiła się nieco i prawie przebaczyła mężowi, nadszedł od niego list, ostatni. Data pieczątki pocztowej rozwiała nadzieję — list był pisany przed samobójstwem. Spaliła go nie czytając.

Głos Duda przywrócił ją do rzeczywistości. — Czy wybierzesz się ze mną dziś na kolację? Znam pewne miejsce, gdzie podadzą nam wspaniałe stare wino i befsztyki z zielonym groszkiem.

— Takiej pokusie trudno się oprzeć — stwierdziła.

— A więc idziemy! Będzie ci się tam podobało. Pomogę ci zamknąć sklep.

Wsiedli do samochodu. Jechali wzdłuż Shell Avenue, potem autostradą i wreszcie zatrzymali się przed domem, w którym mieszkała Nan. Mężczyzna pozostał w samochodzie, Nan pobiegła na górę, aby się przebrać. Włożyła najładniejszą, wieczorową suknię, umalowała usta. Ręce jej drżały ze zdenerwowania. Czego się boisz? — myślała. Nie zaleca się przecież do ciebie. Jako towarzysz jest przyjemny, choć czasem trochę nerwowy... Ale wszyscy jesteśmy nerwowi.

Zeszła na dół, słońce już zachodziło. Udali się w kierunku Gulf City. Na granicy meksykańskiej zatrzymał ich celnik. Dud powiedział coś po hiszpańsku. Roześmiali się obaj i oficer wskazał ręką wolną drogę.

— Gdzie nauczyłeś się hiszpańskiego? — zapytała Nan. — Czy w stanie Indiana?

Graham spoważniał. — Mieszkałem przez kilka lat w tych okolicach.

— W wojsku? Mój mąż także był wojskowym. — Za chwilę żałowała wypowiedzianych słów. Dud stracił humor. Mężczyźni nie lubią, gdy ich towarzyszki mówią o zmarłych mężach.

— Gdzie jeszcze byłeś w czasie służby w wojsku?

— W Japonii.

Także jej mąż był w Japonii, lecz nie wyraziła głośno zdziwienia z tego zbiegu okoliczności.

Teraz Dud jechał wzdłuż Avenida Internacional. Skręcił w boczną uliczkę, prowadzącą do starej części miasta. Zatrzymał się przed drewnianą gospodą. Auto wjechało na patio. Zajęli miejsce przy stoliku pod drzewem papaya. Kelnerka przyniosła dwie świece na talerzykach i postawiła je na stole. Dud zamówił kolację.

— Napijemy się wina, które jest specjalnością tych okolic. Czy piłaś kiedy wino tequila?

— Nie, nie przepadam za winem.

— Odwagi! Staniesz się nową kobietą — powiedział uśmiechając się.

— Dlaczego? Czy w starej jest coś niedobrego? — zapytała uśmiechając się także.

— Jeszcze tego nie wykryłem.

Uśmiech z jego twarzy powoli znikał. Nan poczuła chłód na plecach. Żałowała, że nie ma ze sobą żakietu, aby przykryć nagie ramiona.

Potrawy były wyśmienite. Po kolacji Dud zapalił dwa papierosy i podał jeden kobiecie. Palce jego musnęły rękę Nan, która cofnęła ją gwałtownie. Zbyt gwałtownie.

W drodze powrotnej milczeli, dopóki auto nie przekroczyło granicy. Gdy zbliżali się do miasta Graham zapytał:

— Co się stało, Nan? Czy jestem niemiły? Czy wyrządziłem ci jakąś krzywdę?

— Nic mi złego nie wyrządziłeś — odpowiedziała Nan. — Chyba jestem głupia. Przykro mi, Dud.

Skończyła się autostrada, lecz Graham zamiast jechać do domu Nan, skręcił ku morzu. Kobieta spojrzała na niego pytająco.

— Najpierw zawiozę cię do mojej szopy na wybrzeżu. Chcę ci coś pokazać.

— Jest już późno. Czy nie można odłożyć tego na inny dzień?

— Wszystko nie potrwa nawet pięciu minut — zapewnił Dud.

Za chwilę reflektory samochodu oświetliły drewniany budynek. Od morza dochodził szum fal. Rozbijały się o łódź przycumowaną na molo, Graham wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi, zapaliwszy przedtem światło.

Wnętrze szopy było obszerne, lecz ponure i wilgotne. Przy jednej ścianie stało biurko, przy drugiej drewniana półka, na której leżały niebieskie butle sprężonego powietrza. Obok na ścianie wisiały respiratory do nurkowania, na stojaku kilkanaście strzelb z harpunami. Kłębek żyłki nylonowej leżał na podłodze w pobliżu okna.

Dud zamknął drzwi. — Nie chcę, aby wpadały owady — wyjaśnił. Wziął jedną ze strzelb harpuniczych i podał ją Nan. — Chciałem ci to pokazać. To mój własny projekt.

— Nie znam się na tym — powiedziała Nan.

Odebrał jej broń i zaczął objaśniać: — Lufa jest taka, jak przy normalnej strzelbie, lecz nieco skrócona. Mechanizm ja zaprojektowałem.

Dud włożył harpun do lufy, oparł jego ostrze o blat stołu i nacisnął z góry strzelbę. Harpun przesuwał się wzdłuż lufy, dopóki spust nie trzasnął o sprężynę.

— Ta strzelba jest szybsza i łatwiejsza do manewrowania — powiedział.

Nan przyglądała się mu poważnie. Twarz mężczyzny była napięta. W stanie podniecenia mógł być skłonny do zwierzeń. Nan zaryzykowała.

— Nie przyprowadziłeś mnie chyba tutaj, aby pokazać mi strzelbę. Prawda, Dud?

Schwycił ją mocno za ramię właśnie w tym momencie, gdy zaczęła się od niego odsuwać.

— Myślę, że wiesz wszystko, ale nie jestem pewny. Co ci mówi nazwisko Stanley Harcourt? — zapytał.

— Tak nazywał się przyjaciel mojego męża, poznali się w Japonii.

— To ja nim jestem — rzekł Dud. — Czy teraz rozumiesz?

— Nie, ja... Czy byłeś jeszcze w Japonii, gdy Robert zabił się w San Francisco?

Rzucił strzelbę na stół i schwyciwszy Nan za obie ręce, spojrzał jej prosto w twarz.

— Słuchaj ślicznotko — zasyczał — nie wiem, jaką rolę grasz przede mną. Wykryłem, że wiedziałaś o moim istnieniu. Czekałem, żebyś coś uczyniła! Lecz nic się nie wydarzyło. Prawie wariowałem z niepewności!

— Ty, ty... zabiłeś mojego męża? — zapytała cicho Nan.

— Nie mogłem postąpić inaczej. Dowiedział się, że zajmowałem się handlem na czarnym rynku i zagroził, że mnie zadenuncjuje. Usiłowałem odwieść go od tego — ale na próżno. Miałem w ręku broń, usiłował mi ją odebrać... Miał w kieszeni list, zaadresowany do ciebie. Powoływał się w nim na swój poprzedni list, w którym przedstawił ci decyzję o zadenuncjowaniu mnie. W obawie przed twoją zemstą ułożyłem tak sprawę, aby śmierć Roberta wyglądała na samobójstwo.

A więc to ten list, który spaliła bez czytania! Otrzymała go w okresie, gdy pożerał ją gniew na człowieka, który postąpił tak egoistycznie — zabił się!

— I ty mnie ścigałeś aż tutaj, zmieniłeś nazwisko z powodu tego listu?

— Musiałem tak zrobić. Chciałem dowiedzieć się co knujesz. Czy zbierałaś jakieś wiadomości w tej sprawie?

Fot. W. Parys

Nan odpowiedziała drżącym głosem: — Nie czytałam tego listu.

— I nie wiedziałaś, że go zabiłem?

— Nie.

— O bogowie! — wykrzyknął Graham.

— A teraz co się stanie? — zapytała Nan.

— Nie wiem jeszcze. Nie mam wyboru. Jeżeli cię puszczę, opowiesz wszystko policji. Nie chcę ryzykować.

Strach przygwoździł Nan do ziemi, pokój zawirował. — Bądź ostrożny, jeżeli mi się coś stanie, będą ciebie podejrzewali — wyjąkała nieswoim głosem. — Wykryją, że to ty.

— Znikniesz nagle: Prąd zatoki wzdłuż wyspy pociągnie ciało na drugi brzeg Atlantyku.

Krzyknęła przeraźliwie, lecz ścisnął jej ramiona boleśnie i zamilkła.

— Przykro mi, Nan. Nie chciałbym tego zrobić, lecz nie ma innego rozwiązania, rozumiesz to sama. Przyrzekam ci, że nie będziesz cierpiała.

Wypchnął ją za drzwi i posuwał w kierunku przystani. Nan nie próbowała już krzyczeć, szum fal zagłuszał wszystko. Zbliżyli się do szalupy. Dud na chwilę puścił swobodnie jedno ramię kobiety, aby uchwycić się pilonu i wepchnąć ją do szalupy. W tym momencie Nan odwróciła się ku mężczyźnie i kopnęła go w brzuch. Zawył z bólu i upadł na piasek.

Był przypływ morza. Przerażona kobieta obserwowała, jak Dud potoczył się aż do brzegu molo, uderzył plecami o szalupę i zanurzył się w wodzie. Plama jego blond włosów znikała i znów ukazywała się. Wtem jedną ręką chwycił za pilon i wysunął głowę ponad wodę. Zobaczył Nan — Ratuj mnie — krzyknął — pomóż mi, złamałem rękę.

Kobieta stała nieruchoma, słuchając jego krzyku, gdy szalupa popychana przez fale, uderzała go w ramię.

— Nan, nie stój tam jak skamieniała! Idź do szopy, przynieś sznur, zrób cokolwiek, aby mnie ratować!

Nan nie ruszała się.

Błagam cię, pomóż mi! Pójdę z tobą do policji! Zrobię wszystko, co chcesz!

Wreszcie odwróciła się i skierowała do szopy. — Muszę oddalić się stąd natychmiast — myślała. — Zostawię go tu. Jeżeli sam sobie nie da rady, niech tonie. Lecz nie! Zasługuje na coś gorszego. Ten człowiek chciał ją zabić i zabił jej męża. Jest świetnym pływakiem, nie utonie nawet ze złamanym ramieniem. Dopłynie do plaży. Jeżeli będzie żył, odszuka ją i zabije.

Wbiegła do szopy i spojrzała na kłębek nici. Potem zbliżyła się do stołu i wzięła strzelbę. Powtórzyła to, czego nauczył ją Dud: włożyła harpun do lufy i przycisnęła go do stołu dopóki nie usłyszała metalicznego trzasku sprężyny. Potem wróciła na molo.

Wołał ją jeszcze. — Idę już, idę! — krzyknęła.

Oprac. A. S.

Lewym okiem

KTO PROSI O GŁOS?

Wzdłuż głównych ulic w wielkich miastach pojawiły się wymyślne plakaty o treści antyalkoholowej. To dobrze, trzeba chwytać się choćby brzytwy, bo toniemy. Trzeba próbować wszystkiego. Ale jednocześnie od kilku lat w żadnym sklepie nie dostanie się wódki w ćwiartce. Co najmniej pół litra. Podobno w ćwiartkach się nie opłaci. Lepiej opłaci się drukować plakaty.

Czterdzieści lat temu można było kupić pięć deko masła i pięć deko szynki. Prywaciarzom nawet to się opłacało, chociaż byli nastawieni na zysk, a nie na heroiczne „usługi dla ludności". Takiemu heroicznemu usługodawcy nie opłaci się przyjść do domu klienta i wstawić stłuczoną szybę. Niech sobie klient weźmie szwedzkie okno na plecy i przytarga — może się zrobi.

Kelnerowi nie opłaci się obsługiwać stolika, przy którym ktoś chce zwyczajnie zjeść obiad. Machnie serwetką, prychnie i ucieknie. Zaczyna mu się opłacać od dwudziestej, od drugiego litra. Dlatego w restauracjach dietetycznych i bezalkoholowych podają do stołu nieletnie lub inwalidzi, a w mniejszych lokalach tego typu — nikt. Tylko w melach z wyszynkiem nikt nie pomyślał o samoobsłudze. Pijak nie powinien się sam fatygować. Należy mu się obsługa, bo płaci i to trzy razy więcej niż trzeba.

Jak odszyfrowali uczeni ze starych hieroglifów, już Ramzes II, władający Egiptem w 1350 roku przed naszą erą, założył związek przeciw alkoholowy. Niewiele to pomogło, skoro na nagrobkach egipskich o setki lat nowszych spotykamy wizerunki... wymiotujących dam. Podobno znano wtedy cztery rodzaje piwa, sześć gatunków win i wódkę palmówkę. Aleksander Macedoński zabił po pijanemu swego najlepszego przyjaciela, a sam zmarł po wypiciu dziesięciu kubków wina. Cezara często nosili na rękach żołnierze, zalanego w sztok. Parantele mamy więc nie byle jakie, co? A przecież nie możemy już patrzeć spokojnie i bez wstrętu na wykrzywione kretyńsko gęby pijusów, zalegających wszystkie miejsca publiczne. Czy naprawdę musimy wciskać każdemu od razu całą flachę, czy brakuje piasku na wyrób mniejszych butelek?

Jest jeszcze drugie zjawisko, przybierające rozmiary apokaliptyczne: obrzydliwe słownictwo, otaczające nas dosłownie wszędzie. To się szerzy jak zaraza i nikt z tym walczyć nie próbuje. Ja wiem, młodzi chłopcy pomiędzy sobą zawsze lubowali się w „mocnych" słowach, manifestując nimi swoją, pożal się Boże, dojrzałość, junackość, krzepę. Sprawa pozostawała jednak na ogół ich sprawą pomiędzy nimi. Wobec szerszego audytorium trzeba się było liczyć ze słowami, taka była atmosfera, może moda? Dobra moda. Dziś nie trzeba się liczyć z niczym, przeciwnie, ktoś, kto by próbował wyrazić swą dezaprobatę dla wstrętnego bełkotu sepleniących sztucznie „pod Stęposzczaka" młodzieńców, narażiłby się na pełen rezygnacji i politowania uśmiech dorosłych i na gromki rechot kudłatych brudasów, stanowiących główny, dominujący akcent każdego przypadkowego zgrupowania ludzi.

Ojej, czy może znów nie zostanę nazwany wrogiem młodzieży, pozbawionym poczucia humoru i niezdolnym do dostrzeżenia „zdrowego jądra", kryształowej duszy, zadatków na świetlaną przyszłość — tkwiących w „naszej dumie i nadziei?" Żeby uprzedzić i osłabić taki zarzut, proszę o przypomnienie sobie wszystkich reportaży z kawiarni, z kolejek dojazdowych, z parków i placów miejskich, wszystkich środowiskowych opowiadań i nowel z życia młodzieży, pisanych przez młodych autorów, wszystkich wreszcie własnych obserwacji w tramwajach, w poczekalniach kin, na plażach, na Piotrkowskiej i na stadionie ŁKS. Przecież to się powtarza aż do znudzenia: jesteśmy zdominowani przez ryczące watahy wiecznie podekscytowanych (nie wiadomo czym), niedomytych ludzi płci męskiej w wieku około dwudziestki (wyż!), nie umiejących sklecić najprostszego zdania, najprostszej informacji bez plugawych przekleństw, pozostających ciągle na zgrywie, na drace, na ubawie, na gotowości do awantury. Cała reszta — a to znaczy ogromna większość — milczy przerażona. To też nie tylko moje zdanie. W „Życiu Warszawy" pisze Kopaliński: „większości dorosłych tak bardzo trzęsą się łydki przed młodzieżową modą (a od siebie, jako Ćwieka, chciałbym rozszerzyć to pojęcie na „młodzieżowy styl bycia"), że w odpowiedzi na krytykę najgłupszych choćby jej objawów doczekać się można z ich strony tylko przerażonego milczenia".

Czas, by już przerwać to milczenie. Kto zapisuje się do głosu?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł, półrocznie — 39 zł, rocznie — 78 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 836 H-10.